

TYSIĄC  
I JEDNA  
ŚMIERĆ

STR. 3

BYŁEM  
KIEROWNIKIEM  
KOLONII

STR. 8

Magazyn

STR. 12

CZY KIBIC jest WREDNY?

ATLANTYDA  
I ERICH von DÄNIKEN

STR. 10

# ODGŁOSY

ROK XVIII NR 34 (924)

21 SIERPNIĄ 1975 ROKU

CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

## REKOMENDACJE

Bieżący numer zawiera porcję ciekawych i bardzo różnorodnych publikacji. M. in. Maciej Łukowski sięga do historii telewizji przypominając pionierskie lata najpopularniejszego dziś ośrodka masowego przekazu. O historii pisze też jak zwykle Lektor prezentując karty z dziejów Komunistycznej Partii Polski.

Na kolumnie literackiej proponujemy prozę Mirosława Krleży — wybitnego pisarza współczesnej Chorwacji. Ten głośny pisarz temperamentem pisarskim, pasją krytyczną i demaskatorską nadaje ton całej współczesnej kulturze chorwackiej.

Ze współczesnej prozy publikujemy fragment opowiadania Andrzeja Makowieckiego pt. „Chaltura”. Akcja rozgrywa się w środowisku zawodowych muzyków.

Kolonie letnie to już tradycyjny temat wakacji. Tym razem mamy relację Edwarda Bryla, który opowiada o perypetiach i trudnościach, jakie musi pokonać kierownik placówki kolonijnej. Edward Bryl od wielu lat prowadzi kolonie letnie i jego relacja zainteresuje zapewne zarówno rodziców, jak i władze oświatowe.

Kontynuujemy też bardzo interesujący cykl historyczny Zbigniewa Kuchowicza o Barbarze Radziwiłłównie i Zygmuncie Augustynie. W „Słowniku Pisarzy Łódzkich” prezentujemy sylwetkę poety i prozaika Bernarda Sztajnera oraz publikujemy tegoż autora felieton z cyklu „Sprawy ludzi”.

Ponadto w bieżącym numerze znajdują czytelnicy wszystkie stałe pozycje — program telewizyjny, informacje książkowe, felietony, recenzje oraz „Magazyn” w którym drukujemy korespondencję własną ze słonecznej Hiszpanii.

## LATO

EDWARD BRYL

BYŁEM  
KIEROWNIKIEM  
KOLONII

Czytaj na str. 8



## HIPOTEZY

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

# ATLANTYDA I ERICH von DÄNIKEN

Nasz — wydawałoby się tak dobrze poznany — świat kryje jeszcze niejedną tajemnicę. Wiele faktów i zdarzeń z przeszłości znalazło hipotetyczne wyjaśnienie, ale rozwój techniki i nauki powoduje, że wylaniają się z przeszłości nowe zagadki i pytania. Wobec niektórych z nich nauka staje bezsilna, a klasyczny pogląd na naszą przeszłość coraz częściej poddawany zostaje w wątpliwość. Wątpią nie tylko laicy, wątpią też niektórzy uczeni.

Najdawniejsza historia naszej planety zawiera wiele nie wyjaśnionych faktów. Najwięcej wątpliwości rodzą nie wyjaśnione do dziś — „wiązki” pomiędzy kulturami dawnych ludów europejskich czy afrykańskich, a kulturami ludów Ameryki. Najprostszym wytłumaczeniem byłyby wzajemne kontakty ludów żyjących w rejonie Morza Śródziemnego z ludami obu Ameryk. Próbowano nawet udowodnić, że możliwa była w dalekiej przeszłości wyprawa łodziami papirusowymi przez Atlantyk. Ale to jeszcze niestety nie wyjaśnia.

Byłoby znacznie prościej, gdyby między kontynentami Europy i Afryki a kontynentem amerykańskim istniał „pomost” — ląd pośredni, jakaś wielka wyspa lub nawet kontynent, który po spełnieniu swojej roli zaginął w odmętach oceanu. Tutaj z pomocą przyszedł Platon, który przeszło 2 tys. lat temu w dialogach „Timaios”

i „Kritias” wspominał o takim właśnie lądzie — o Atlantydzie. Wprawdzie do dziś nikt nie potrafił udowodnić istnienia Atlantyd, ale nie przeszkadza to w hipotetycznym wyjaśnianiu nurtujących nas wątpliwości.

## PYTANIA I WĄTPLIWOŚCI

Niedawno w „Problemach”, pisząc o poglądach różnych uczonych na temat istnienia lub nieistnienia Atlantyd, Andrzej Dominirski przedstawił kilka pytań, na które można znaleźć odpowiedź, jeśli przyjmie się, że Atlantyda nie tylko istniała, ale żyjący na niej lud wytworzył wysoką cywilizację.

Oto niektóre z pytań, jakie przedstawił Andrzej Dominirski w „Problemach”:

— „Dlaczego węgorze z rzek Europy wyruszają na tarło do centrum Ocea-

nu Atlantyckiego, do Morza Sargosowego, którego wodorosty nie mają nic wspólnego z gatunkami amerykańskimi, są natomiast spokrewnione ze śródziemnomorskimi?”

— „Dlaczego prastarzy przodkowie Europejczyków — Kromanińczycy, Guancowie z Wysp Kanaryjskich i niektóre plemiona indiańskie — wykazują bliskie podobieństwo antropologiczne?”

— „Dlaczego starożytni Egipcjanie, Toltekwowie i Majowie Ameryki Środkowej oraz Czumowie z Peru mieli jednakowe obyczaje — wznosili piramidy i mumifikowali zwłoki?”

— „Dlaczego w Peru znalazły się starożytne rzeźby lwów i innych nieamerykańskich zwierząt, odkryte niedawno przez Daniela Ruzo?”

— „Dlaczego religia wielu tubylczych plemion obu Ameryk zachowała mity o białych brodatych ludziach przybyłych ze Wschodu, o zniknięciu ziemi znajdującej się gdzieś za oceanem, o potopie, przy czym ustalono, że wszystkie te mity pochodzą z okresu przedchrześcijańskiego?”

Dalszy ciąg na str. 10

## HISTORIA OBYCZAJÓW X

ZBIGNIEW  
KUCHOWICZ

# DECYDUJĄCE STARCIE

Kampanię rozpoczął Lupa Podłotowski wygłaszając w dniu 5 listopada mowę w senacie. Atakował w niej i dla równocześnie zaapelował do senatorów by wystąpili przeciw małżeństwu zawartemu bez ich zgody. Posłowie oraz część senatorów akcentowała fakt, że król ożenił się bez porozumienia z senatem, wskazywano iż jego przodkowie, np. Kazimierz Jagiellończyk, żenili się nawet z brzydkimi kobietami, które im się wcale nie podobały, lecz spełniali wole swej rady. Podłotowski głosił, że nie można się z tego małżeństwa niczego dobrego spodziewać, groził nawet wojną domową:

„Albo krew chrześcijańska rozlejemy, albo sami to krwią zapłacimy”.

Był to nacisk na wycekujących senatorów, by wspólnie z izbą poselską wystąpili przeciwko małżeństwu.

Zygmunt August wystąpił z kolei z utrzymanym w tonie poważnym i stanowczym oświadczeniem, stwierdził, że ślub jest prawomocny, że nie może tamże złożonej przysięgi, napomknął, że jako człowiek ma prawo ulegać swym upodobaniom, obiecywał na przyszłość nie nie czynić bez woli rady, lecz tego, co się stało, nie może już zmienić. Oświadczenie to mało kogo zadowoliło, izba żądała, by dyskusja nad małżeństwem odbyła się w obecności króla i przy całej izbie poselskiej.

Zygmunt August, acz bardzo niechętnie, zgodził się na dyskusję w swej obecności. W imieniu izby wystąpił 16 listopada z wielką mową Boratyński, który w konkluzji prosił, by król „tego małżeństwa żałostliwego zaniechał raczej”. Mowę Boratyńskiego zakończył testralny, bezprecedensowy w dziejach polskiego parlamentaryzmu gest. Cała izba padła na kolana i na klęczkach błagała monarchę o opuszczenie łonu. Zygmunt August nie poddał się jednak nastrojowi, dość ironicznie potraktował tę demonstrację. Dziarski sejmowy notuje:

„Na co Król J. M. (wielkiej niewdzięczności znak po sobie ukazując) jał kiwać głowa i mówić: Wejże ichi wejże! trzebaż tego?”

Uderzył na króla jednak także dopingowani przez szlachtę marnaci. Prymas Dzierżewski oświadczył, że jeśli król uważa rozłączenie się z żoną za grzech, to on ten grzech rozłoży na wszystkie głowy, „aby każdy w Polsce do ostatniego mężczyzny, poniósł na sobie grzechu królewskiego czastkę, na dobro pospolite”. Apelowal do króla, by opuścił żonę, „a te zła sprawa, która się wszędzie rozlała z siebie i nolskiego narodu stał”. Sekundował mu biskup Dziaduski, który z przekasem mówił o fałnym ślubie królewskim tłumacząc „jakąś młodością”. Zalecał rozłączenie się i oświadczył:

„Nie w tem WKM sumienia swego przed Panem Bogiem nie obrazisz, będziemy my wszyscy za to pokutować”. Marszałek Kmity podzielał zdanie

Dalszy ciąg na str. 6

# OD CZWARTKU DO CZWARTKU

## PRZYGOTOWANIA DO ZJAZDU TŁUMACZY LITERATURY POLSKIEJ

W pełnym toku znajdują się przygotowania do ważnej imprezy III Międzynarodowego Zjazdu Tłumaczy Literatury Polskiej. Odbędzie się on w Warszawie, w dniach od 25 września do 4 października br. pod patronatem wicepreziera, ministra Kultury i Szukni — Józefa Tejlmy. Organizatorami są Agencja Autorska oraz Związek Literatów Polskich.

### ŚWIĘTO „TRYBUNY LUDU”

W wolną sobotę 23 oraz w niedzielę 24 bm. odbędzie się w stołecznym, jak i w innych miastach, w programie przewidziano wielki festywny ludowy, liczne imprezy kulturalne i rekreacyjno-sportowe, wystawy kiermasze, spotkania i wiele innych atrakcji.

Przygotowywane są liczne imprezy o charakterze politycznym i społecznym, jak: wystawy, spotkania czytelników z ciekawymi ludźmi, seminaria, forum dyskusyjne.

Miejscami najbardziej masowych imprez i spotkań warszawiaków oraz licznych turystów z kraju i zagranicą — gości „Trybuny Ludu” — organa KC PZPR. W programie przewidziano wielki festywny ludowy, liczne imprezy kulturalne i rekreacyjno-sportowe, wystawy kiermasze, spotkania i wiele innych atrakcji.

### PIERWSI GOŚCIE W SOPOCIE

W ub. niedzielę rozpoczęły się już próby z orkiestra piosenkarzy uczestniczących w tegorocznym sopockim festiwalu. Tradycyjnie dostępne dla publiczności pierwsze tony orkiestry zaprezentowała orkiestra Polskiego Radia i Telewizji pod batutą Henryka Debiacha, reprezentantowi firmy fotograficznej „Philips” z Libanu A-Sammy Clarkowi.

Ustalono ostatecznie program galowych koncertów XV MFF. W „Koncercie — gala krajów socjalistycznych”, wystąpią: Karel Gott z CSRS, Miriam Ramos z Kuby, Frank Schoebel z NRD, Didi Dragan i grupa „Sini” z Rumunii, szulca Sińska, Zdzisław Sośnica, Krzysztof Krawczyk i Wojciech Młynarski. W koncercie finałowym „Polska gala jubileuszowa” wystąpią: Irene Jarocka, SBB, „Budkę sufiera” z Halina Frackowiak, Lucyna Owsińska, Krzysztof Krawczyk i Andrzej Kozłowski. Międzynarodowy festiwal „Dwa plus jeden”, Stefana Zacha, Anne Japart, Urszula Sińska i Bogdan Zagórski.

### ZMARŁ DYMITER SZOSTAKOWICZ

W ub. sobotę zmarł sławny kompozytor radziecki Dymiter Szostakowicz. Pogrzeb jego odbył się w czwartek z najwyższymi honorami na cmentarzu Nowodewiczym w Moskwie w pobliżu mogił Gogola i Czechowa.

### 21 SIERNIA POCZĄTEK NAUKI W SZKOLACH PODSTAWOWYCH

Ministerstwo Oświaty i Wychowania informuje, że rozpoczęcie roku szkolnego 1977/78 nastąpi: w szkołach podstawowych — 21 sierpnia; w szkołach ponadpodstawowych wszystkich typów dla młodzieży oraz w szkołach podstawowych i ponadpodstawowych — dla pracujących w miastach — 1 września; natomiast w szkołach podstawowych dla pracujących — we wsiami — zależnie od decyzji Kuratorów — 15 października lub 1 listopada br.

### PONAD 17 KG ZŁOTA ŻYTYO NA BUDOWIE ZAMKU

Ponad 17 kg złota najwyższej próby 99,99 — żytyo już zdobył białe Złotko Królewskiego w Warszawie. Wykonano szereg próbek powłoki dla elementów zegara Położono też zdobienia architektoniczne wież: Zygmuntońskiej, Władysławowskiej, narożnej oraz kaplicy. Poszczególne elementy dekoracyjne zostały pokryte warstwą złota o grubości 25-30 mikronów. Wymagało to nowych rozwiązań technologicznych.

### „CHŁOP” NA SZKLANYM EKRANACH W RFN

W ub. niedzielę telewizja zachodniemiecka (ARD) zainaugurowała wyświetlanie serialu „Chłopi” według powieści Władysława Reymonta w reżyserii Jana Rybkowskiego. Film uzupełniło wznowienie wydania „Chłopi” na zachodniemieckim rynku księgarskim. 30 tysięcy egzemplarzy powieści Reymonta ukazało się nakładem wydawnictwa „Diederich” w Kolonii.

### PRESLEY JAKO RUDOLF VALENTINO

Elvis Presley otrzymał propozycję zagrać rolę słynnego aktora z okresu filmu niemego Rudolfa Valentino w musicalu na Broadwayu. Za 4-tygodniowe zaangażowanie zaproponowano mu ok. 2,5 miliona dolarów. Musical ten ma być następnym filmem.

# KSIĄŻKA

## WYDAWNICTWA BOCZNEGO NURTU

Wiadomo, że obok głównego nurtu literatury płynęły i płyną zawsze strumyki paraliżacji, na który składają się różne autorskie próby i dziwada. Znajdą się tam różnego rodzaju senniki i kalendarze, jakiegoś przekładki Homera na gwara góralska, jakiegoś zeszytów powieści i tym podobne dzieła...

Oczywiście dzisiaj ten paraliżujący strumień ma nieco inny charakter, jeszcze nie znalazł chyba swego biografii i historyka, ale przecież i dziś ów strumień — jak w znanej piosence — „płylnie sobie z wolna”.

Podobnie jest też z tzw. produkcją wydawniczą. Obok jej głównego nurtu reprezentowanego przez renomowane oficyny wydawnicze istnieje także strumień publikacji wydawanych przez różne instytucje, biblioteki, domy kultury. Z tej — dość bogatej — produkcji wydawniczej chciałbym dziś zaprezentować słuchaczom parę pozycji wartych, moim zdaniem, upamiętnienia. Związane, że są i publikacje o niewatpliwych walorach informacyjnych, dokumentalnych i poznawczych.

Okazuje się na przykład, że Biblioteka Główna Akademii Medycznej w Łodzi wydaje bardzo ciekawe zeszyty stanowiące ważny materiał dokumentacyjny do dzieł nauki nie tylko w Łodzi, ale i w Polsce.

W nakładzie kilkuset egzemplarzy ukazuje się na przykład publikacja „Annales Academiae Medicae Lodzensis” zawierająca w swoich kolejnych tomach całokształt działań i osiągnięć poszczególnych instytutów łódzkiej medycyny. Jest to coś w rodzaju encyklopedii Akademii Medycznej.

Publikacja bardzo ciekawa, na pewno bardzo potrzebna — a jako dokument — po latach zwłaszcza, wprost bezcenna.

I chociaż jest to rocznik nie znany szerszemu gronu odbiorców, choć trafia tylko do niektórych naukowych bibliotek, wartość tego wydawnictwa „bocznego nurtu” jest na pewno ogromna. Podobnie rzecz się ma z inną publikacją Akademii Medycznej, z wydaną niedawno w nakładzie 600 egzemplarzy Bibliografia dorobku piśmienniczego. Jest to spis publikacji naukowych pracowników Akademii Medycznej w Łodzi za jeden tylko rok — 1973.

I teraz zagadka. Te publikacji naukowych łódzkich, medyków ukazało się w tym jednym roku? Sto? Dwieście? Trzysta? Otóż nie! Ukazało się dokładnie siedemdziesiąt pięć publikacji naukowych. Ogromny dorobek świadczący o prężności łódzkiego środowiska medycznego, o ranżie Akademii, o wielkich możliwościach twórczych w dziedzinie nauk medycznych. A przecież ów

rok 1973 nie jest rokiem wyjątkowym. To po prostu zwykły, normalny rok pracy — te się doraźnie publikacji można pomnożyć o całe lata istnienia Akademii.

Są to sprawy, o których wiemy niewiele, są to sprawy nie trafiające do szerszego kręgu, sam nakład Bibliografii ogranicza poznawczy charakter tego wydawnictwa. Ale dobrze, że tego rodzaju wydawnictwa istnieją, są one cennym dokumentem określonych zjawisk i możliwości w łódzkim środowisku naukowym. A teraz z innej beczki — albo inaczej — z innego kręgu. Oto Powiatowa i Miejska Biblioteka Publiczna w Łasku wydała czołową i czołową ulotkę zatytułowaną „W kręgu literatury — znak Grabi”. Grabia, to rzeka nad którą leży Łask, a ów „krąg literatury” to noly biograficzne jedenastu ludzi związanych z ziemią łaską.

Oczywiście tego rodzaju publikacja nie posiada większych wartości dokumentalnych, zdarzają się w niej nawet zwykłe błędy i pomyłki — ale jest to na pewno wyraz swoistego patriotyzmu miejscowych działaczy kultury i byłym ostatim, który potępił takie sympatyczne gesty pod adresem literackiej tradycji własnego regionu.

Wydawnictwo inelatywne podejmuje także od lat Miejska Biblioteka Publiczna im. Ludwika Waryńskiego w Łodzi. O wlewu wydanych tu broszurach mówię i pisałem nie raz — obecnie wypadła wspomnieć ciekawie i pożyteczne zestawienia dokumentalne. Oto wydano spis wszystkich nagród literackich na przestrzeni lat — nagród, jakie przyznawano w Łodzi lub Łodziom — z różnych okazji. Znajdziemy tu więc pełną dokumentację wszystkich Festiwalu Poetyckich, Łódzkiej Ziemi Łódzkiej, wykaz łódzkich pisarzy — laureatów nagród państwowych, ministerialnych i innych... Słowem jest to pełna i rzetelna dokumentacja osiągnięć ludzi łódzkiego środowiska literackiego.

Zapyta ktoś: komu to potrzebne? Otóż wydaje mi się, że tego rodzaju dokumentacja jest potrzebna przede wszystkim działaczom kulturalnym i oświatowym, bibliotekarzom i księgarzom, publicystom, nauczycielom... Jasne, że broszurka ta nie trafi szerzej, bo też nie jest szerzej adresowana. Ale dobrze, że ją opracowano i dobrze, że ją w niewielkim nakładzie wydano. Jest to po prostu dokument, do którego nie jeden raz będziemy sięgać, gdy zawiędzie po latach pamięć o poszczególnych faktach literackich.

I wreszcie na koniec jeszcze jedna bibliografia — tym razem wyjątkowy rarytas. Jest to, wydana przez Bibliotekę Uniwersytecką

tecką w Łodzi, praca Janiny Jaworskiej „Bibliografia łódzkiej produkcji wydawniczej do roku 1918”. To znakomite dzieło pod względem poligraficznym wygląda najpiękniej. Wydano je na powielacz w nakładzie 400 egzemplarzy.

Praca Janiny Jaworskiej jest retrospektywną bibliografią podmiotową Łodzi rejestrującą łódzki dorobek wydawniczy od lat 60-tych XIX wieku do roku 1918. Praca ta stanowi dokumentację działalności wydawniczej łódzkiego ośrodka. Zebrany tam materiał jest pomocniczą bazą materiałową do monografii traktujących o dziejach ruchu wydawniczego w Łodzi w latach 1863-1918.

Jeśli ktoś myśli, że takiej monografii nikt jeszcze nie napisał, to jest w błędzie. Otóż taką monografią powstała — jej autorką jest właśnie Janina Jaworska. Bieda tylko w tym, że praca, z przyczyn dla mnie niepojętych, nie została dotąd opublikowana. Tak więc mamy kolejny paradoks naszej produkcji wydawniczej. Dobrze, że choć ów materiał pomocniczy został udostępniony zainteresowanym czytelnikom w postaci tomu wydanego przez Bibliotekę Uniwersytecką.

A jest to materiał niezwykle ciekawy. Stanowi on charakterystyczną dokumentację rozwoju Łodzi kapitalistycznej i może zainteresować historyka kultury, ekonomistę czy socjologa. Ważny jest w Bibliografii Jaworskiej także i to, że zasięgiem objęto nie tylko wydawnictwa polskie, Łódź była przecież miastem wielonarodowym i pominięcie obcojęzycznej produkcji wydawniczej byłoby złamaniem proporcji i oczywiście zafałszowaniem obrazu miasta. Na szczęście to się nie stało i obok wydawnictw polskich mamy w pracy Janiny Jaworskiej odnotowane publikacje rosyjskie, niemieckie, żydowskie, czeskie... W sumie na przestrzeni lat 1863-1918 wydano w Łodzi blisko 25 tysięcy książek, z czego prawie 50 procent stanowiły książki polskie.

Praca Janiny Jaworskiej mówi o głównym nurcie wydawniczym Łodzi. Jest trochę paradoksem, że tę właśnie książkę — z racji jej zasięgu, wydawcy i poligraficznej formy — zaliczyć trzeba do nurtu... bocznego. Ale to przecież nie pierwszy i nie ostatni paradoks naszej produkcji wydawniczej. W każdym razie dobrze się stało, że Biblioteka Uniwersytecka ten materiał opublikowała. Tak jak w ogóle pożytecznym zjawiskiem jest ów cały boczny nurt wydawniczy.

JERZY WILMAŃSKI

## KRONIKA PLASTYCZNA I MIĘDZYNARODOWE TRIENNALE TKANINY ŁÓDŹ - 75

22 października br. w salach Muzeum Historii Włókiennictwa (trwają tam obecnie w oświetlonej — delikatnie mówiąc — tempie prowadzone prace remontowo-adaptacyjne) ma być otwarte I Międzynarodowe Triennale Tkaniny. Na ekspozycję złożą się: Międzynarodowa Wystawa Tkanin Unikatowych i Ogólnopolska Wystawa Tkanin Przemysłowych.

Impreza (jedyna tego typu w krajach socjalistycznych) wzbudziła duże zainteresowanie wśród artystów zajmujących się tkaniną unikatową i projektowaniem tkanin dla przemysłu. Dowodem tego są liczne zgłoszenia z kraju i zagranicy. Nadeszła także tkanina artystyczna z Belgii, Czechosłowacji, Hiszpanii, Bulgarii, Węgier, ZSRR, Szwajcarii, Rumunii, Kanady, Japonii, Brazylii, Wielkiej Brytanii i Jugosławii. Ogółem nadeszło z zagranicy 50 tkanin unikatowych.

Z kraju zgłoszono 168 prac w dziedzinie tkaniny unikatowej, z czego jury zakwalifikowało do wystawy 91 tkanin 81

autorów. W dziedzinie tkaniny przemysłowej zgłoszono 220 tkanin, a przyjęto 101 prac 55 autorów. Natomiast spośród 96 projektów tkanin przemysłowych wybrano po ostrej selekcji 35 projektów 16 autorów.

Jury Triennale przyjęło zasadę ostrej selekcji, aby zapewnić imprezie możliwie wysoki poziom artystyczny. Znajac osiągnięcia polskiej tkaniny unikatowej można mieć nadzieję, że w niedalekiej przyszłości impreza łódzka stanie się poważną konkurencją dla Lozanny.

Komisarz I Triennale, Jerzy Frąteczak, udzielając powyższych informacji wyraził jednak niepokój organizatorów o stan robót remontowych w Muzeum Historii Włókiennictwa. Prace prowadzone są od dawna i ospale, a termin otwarcia bliski. Należy pamiętać, że imprezy odwołać nie można i że nie ma w Łodzi żadnych innych, w których mogłaby się ona odbyć. Bądźmy jednak optymistami!

A. G.



ELEODNE PASZTHY MAGDA — WĘGRY — „DRZEWO ŻYCIA”

# TELEWIZJA

## CZWARTEK, 21. VIII.

### PROGRAM I

30.25 — „NIEZNAJOMI Z PO-CIAGU” — to jeden ze starszych (1951) ale i najlepszych filmów Alfreda Hitchcocka, niezrównanego mistrza tworzenia napięcia, Guy Maines, znany tenisista, pozna je w podługę mężczyźni którzy proponują mu „wymianę mord-derstwa”.

### PROGRAM II

17.10 — W Kinie Letnim obejrzymy rumuńską komedię obyczajową „W UPOJNYM RYTMIE TAN-GA”. Reżyser, Geo Saizescu, stworzył kapitalną satyrę na fałszywość, naiwność i przejawy snobizmu.

20.20 — „W AFRYKAŃSKIM MO-CARSTWIE” — program publicy-styki międzynarodowej wart jest uwagi widzów, interesujących się historią Nigerii i jej ostatnim przewrotem — 29 lipca br.

## PIĄTEK, 22. VIII.

### PROGRAM I

17.35 — SEZAM — aktualne wy-danie łódzkiego magazynu rela-cjonuje jak się wyczuwa w ośrodkach zakładowych i info-rmuje o zalecanych nowym systemu handlu obuwem w Małborku

20.20 i 22.00 „DNI PLYTOWE” inauguruje XV Festiwal Piosenki w Sopocie.

### PROGRAM II

17.20 — W repertuarze Kina Let-niego — I część rumuńskiej ko-medii kryminalnej „PRZYGODA NAD MORZEM CZARNYM”. Świetna parodia komiksowych se-riali telewizyjnych (kolor)

## SOBOTA, 23. VIII.

### PROGRAM I

12.40 — „Dzień na lotnisku” — reportaż filmowy z Wyższej Ofi-cerskiej Szkoły Lotniczej w De-blinie.

15.00 — Program I przejmie „STUDIO 3” (z przerwą na „De-branec” i Monitor) Wielogod-zinny blok programowy zapo-wiada się atrakcyjnie: sporo roz-rywkli, dobrych filmów, reportaży o sławnych ludziach, m. in. o 20.15 — SOPOT 75 — DZIEŃ POL-SKI (kolor)

### PROGRAM II

17.30 — Kino Letnie wyświetli II część rumuńskiej komedii krym-i-nalnej „PRZYGODA NAD MO-RZEM CZARNYM” (kolor)

21.55 — WIECZÓR AUTORSKI z Jerzym Anasjosem — spotkanie z satyrykiem, reżyserem, założy-cielem „BIM-BOMTU”, laureatem wielu nagród literackich.

23.10 — NA ESTRADACH ŚWI-ATA — film wstąpił, w którym

reżyser Vinco Marinucci nieba-nalnie pokazał rozrywkę w wy-daniu światowym.

## NIEDZIELA, 24. VIII.

### PROGRAM I

15.50 — Final kontynentalny in-dividualnych Mistrzów Świata w żużlu.

18.00 — „Z TRYBUNĄ LUDU” — program muzyczno-rozrywkowy z udziałem polskich i zagranicznych piosenkarzy, w reżyserii Włodz-i-miera Gawrońskiego (kolor)

21.25 — SOPOT 75 — Koncert laureatów (kolor)

### PROGRAM II

17.40 — Kino Letnie zaprasza na rumuńsko-francuską komedię ko-stumowaną pt. „MALZONKOWIE ROKU DRUGIEGO” z Jean Paul Baimondo i Marieną Jobert (ko-lor)

20.55 — „WIECZORNY GOŚĆ” — tym razem będzie nim Andrzej Szajewski.

## PONIEDZIAŁEK, 25. VIII.

### PROGRAM I

20.20 — Teatr Telewizji z Kato-wic wznowi głosny dramat hi-storyczny Romana Brandstettera „KROL I AKTOR”

### PROGRAM II

17.00 — „DZIEŃ RUMUŃSKI” — z licznymi propozycjami polecamy: „ORIENT EXPRES” (20.20) — przygodowo-sensacyjny film TV.

## WTOREK, 26. VIII.

### PROGRAM I

20.30 — „HISZPANKI W PARY-ZU” — dramat psychologiczno-obyczajowy prod. hiszpańskiej, o młodej dziewczynie z biednej wsi, przybyłej do stolicy Francji (ko-lor)

22.05 — „TEATR RUCHU” — „Dwie noce” — program poetycko-baletowy z muzyką Witolda Lutosławskiego i poezją Jarosła-wa Iwaszkiewicza. (kolor)

### PROGRAM II

21.25 — Teatr Sensacji proponuje amerykańskie widowisko Wil-liama Irisha pt. „PANI WIDMO” z Zofią Saretok w roli tytułowej.

## ŚRODA, 27. VIII.

### PROGRAM I

18.40 — Teatr Telewizji na Świe-cie wystawi współczesną sztukę TV CSRS pt. „SOVA” w reżyse-rii Evżena Nemeca. (Premiera — dubbing)

20.20 — „ZBRODNIA W KLUBIE TENISOWYM” — filmowy dramt psychologiczny prod. włosko-ju-gosłowiańskiej w reżyserii Fran-co Rosseti.

# POWTÓRKI

Chyba żadnego lata nie mieliśmy w telewizji takiej programowej powtórki. Piszę „programowej” bo słowo to ma podwójne znaczenie. Powtarza się bowiem programy już kiedyś emitowane i powtórki te są niejako programowo konsekwentne.

Lecą więc stare filmy, lecą stare audycje i spektakle teatralne. Oczywiście — na życzenie publiczności. Ale nie wybrzydźmy. W takie upalne lato jak tegoroczne mało kto siedzi przed telewizorem i może w tej roli powtórek tkwi jakiś sens. Zajmijmy się więc telewizyjnymi nowościami.

W minioną niedzielę przedstawiono nam ze Szczecina teleturniej „Polska leży nad Bałtykiem”. Jeszcze raz potwierdziła się prawda o teleturniej, że mają one sens o tyle o ile niosą jakieś informacje, o ile są interesujące dla milionów widzów — a nie tylko dla garstki uczestników, którzy wykuli na błachę nieco wiadomości z określonej dziedziny.

W dalszym ciągu — mimo wielu reorganizacji — najciekawszy jest teleturniej „Wielka Gra”. Oparty na niezwykle prostej zasadzie — dzięki swojej tematycznej różnorodności, jest wciąż audycją ciekawą. Oczywiście — ważny jest tu jeszcze element emocji — wiadomo, że jak gra idzie o forsy to sprawa jest poważna.

Program ze Szczecina był głą powtórką niedobrego modelu teleturniej prowadzonych od lat przez panią Ryster pod hasłem „My-75”. Widać terenowy ośrodek uznał ów model za wiodący i powielił poetykę tamtego programu.

Nie powtarza się tylko „Panorama” wciąż zaskakująca nowymi pomysłami, dowcipem, informacją. Nawet jeśli niektóre chwytły autorów „Panoram” są nieco infantylne (jak choćby ten z przebraniem za Japończyka red. Jackiem Maziarzskim) — to w sumie i tak jest to najlepsza pozycja naszej publicystyki telewizyjnej.

GORZEJ jest z rozrywką. Niezrównanego porucznika Columbo zastąpił monsieur Dupin z opowiadań E.A.Poe — całe szczęście, że tylko na trzy odcinki. Nowe E.A.Poe miały atmosferę i klimat niezwykłości, choć intryga stricte kryminalna była wątpliwa i wydumana. Film wydobyl z pierwowzoru literackiego bardzo niewiele.

Jeszcze tylko „Nowe przygody Vidocq’a” budzą powszechne zainteresowanie. Nie jest to — na szczęście — powtórzenie podobnego serialu sprzed lat — obecna wersja przygód twórcy francuskiej policji ma w sobie więcej lekkości i dowcipu niż poprzednia.

Pozostały nam jeszcze widowiska najwyższe i — być może — najciekawsze. Widowiska sportowe. Pięknie prowadzone i pokazywane sprawozdania z Nicei — z Finału Pucharu Europy w lekkiej atletyce, kronika mistrzostw świata w kolarstwie oraz sprawozdawcze magazyny sportowe. Nie pierwszy to i nie ostatni raz redakcja sportowa telewizji ratuje atrakcyjność programu, który zaplątał się w tematyczne, stylistyczne i dosłowne powtórki.

ZASTĘPCA

# OGŁOSZY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDICH, JAN JANICKI (redaktor techniczny), WIESŁAW JAZDYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (zastępca sekretarza redakcji).

Stale współpracują: ANDRZEJ F. GRABSKI, ANDRZEJ GRUN, WŁÓDZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPANIK, BERNARD SZTAINERT.

W roku 1955 „Głos Robotniczy” opublikował obszerny artykuł zawiadający budowę Łódzkiego Ośrodka Telewizyjnego. Ośrodek miał znajdować się w wieżowcu przy ul. Narutowicza, w sali przeznaczonej pierwotnie na salę widowiskową. Adaptacja zakładała m.in. zamurowanie okien, założenie urządzeń akustycznych, aparaty oświetleniowej itd. Gospodarz budynku Ministerstwo Przemysłu Lekkiego na wniosek prezydenta RN w Łodzi wyraziło zgodę na przebudowę sali, jednak nim Biuro Rozbudowy Telewizji w Warszawie nadało dokumentację, gospodarz rozmyślił się i sprawa budowy łódzkiego studia utknęła na martwym punkcie.

Pierwotne plany zakładały budowę jedynie stacji retransmitującej program z Warszawy, pozostawiając własnego studia i możliwości produkcji własnego programu. Przebudowa sali widowiskowej była więc szansą stworzenia prawdziwego, własnego studia telewizyjnego. Sali nie przebudowano ale 22.VII.1956 roku na XIII i XIV piętrze wieżowca przy ul. Narutowicza, w małym pomieszczeniu rozpoczęła pracę Łódzka Stacja Nadawcza TVP z wielkim zainteresowaniem oczekiwano na każdy fragment aparatury tak nieodzownej w miniatury i prowizorycznych warunkach. 16 października nadeszły dwie kamery francuskie i nowy blok nadawczy o mocy 500 Wat. Zasięg stacji wzrósł do 40 km.

## BRYDZ I „ALFA”

Nie najlepiej było — pisała wówczas łódzka prasa — z montowaniem łódzkiego nadajnika. Aby umocować antenę na szczycie wieżowca trzeba było zamontować specjalny dźwig, który unosiłby ten ogromny ciężar i pozwolił na umieszczenie go na dachu. Dźwig zmontowano, ale szkielet monterów pracujących przy zakładaniu nadajnika, musiało przez trzy tygodnie czekać na przyjazd inżyniera z francuskiej firmy Compagnie General de TSE, który miał czuwać nad montażem urządzenia. Reporterzy „Głosu Robotniczego” pisali wtedy, że czterech monterów regularnie przez okres oczekiwania grało w brydża, natomiast dwóch, nie posiadających takich umiejętności, nudziło się jak mopsy. Praca stała a telewizji czekała.

Telewizja w tym czasie zaczynała odgrywać także rolę w praktyce gospodarczej. 17 V 1957 „Dziennik Łódzki” doniósł o powstaniu polskiego modelu telewizji przemysłowej. Warszawskie Zakłady Telewizyjne zaprezentowały te nowe urządzenia nazwane „Alfa” na Targach Poznańskich i wzbudziły tym szerokie zainteresowanie wśród przedstawicieli przemysłu.

Telewizja rozrastała się. Miały miejsce. Powstawały nowe stacje nadawcze, łącza transmisyjne. Prasa donosiła o nowych ośrodkach telewizyjnych, rozpoczynających pracę. Od 1957 r. rozpoczęła pracę Telewizja Poznań, która skorzystała z aparatury wystawionej na Targach Poznańskich przez francuskiego producenta.

Łódź zaczynała wtedy eksperymenty w uzyskaniu połączenia z Warszawą. 11 lutego 1957 roku po raz pierwszy telewizyjnie oglądają na ekranie jeszcze niezbyt dobry obraz z Warszawy, będący fragmentem koncertu pożegnającego Lucienne Boyer, występującej w Operze Warszawskiej.

## KIEDY RUSZY STUDIO?

Już w 1957 roku prasa snuła marzenia o telewizji kolorowej i drugim programie czarno-białym. Program drugi w owych prognozach przedstawiał się jako program dla stolicy, przy czym pierwszy byłby programem centralnym dla ośrodków regionalnych.

Pojawiły się też plany stworzenia telewizji przewodowej w Łodzi. „Głos Robotniczy” przeprowadził w tej sprawie rozmowę z naczelnym inżynierem ŁOT. Pady wtedy zapewnienia o mających się rozpocząć w niedalekiej przyszłości pracach nad telewizją przewodową. Zasadą miało być, że jeżeli dziesięciu lokatorów jednego budynku zgodzi się na założenie telewizji, budynek ten będzie podłączony do sieci przewodowej.

Telewizja przewodowa nigdy w Łodzi nie została założona. Aktualnym stał się problem budowy dużego studia telewizyjnego. Już w końcu 1957 r. sygnalizowano, że pod koniec lutego następnego roku studio zostanie otwarte, potem otwarcie miało nastąpić w marcu, ale w marcu „Express Ilustrowany” donosił że „W początkach kwietnia ruszy nowe studio”. W czerwcu ta sama gazeta alarmowała: „Kiedy ruszy nowe studio Telewizji Łódzkiej”. Aż wreszcie 13 VI 1958 roku nastąpiło uroczyste otwarcie.

Telewizja Łódź stała się jednym z najnowocześniejszych ośrodków. Co prawda nie nadeszła jeszcze całkowita aparatura techniczna, niemniej wielkość studia i perspektywy jego rozwoju stawiały go w rzędzie pierwszych w skali kraju.

Radość z powodu oddania studia była ogromna, rozpisywał się na ten temat „Dziennik Łódzki”, „Odgłosy”, „Głos Robotniczy”, publikując artykuły pełne optymizmu, dobrych życzeń i rad na przyszłość oraz pełne przekonania o świetnej karierze jaka czeka Łódzki Ośrodek.

lewizji do sieci międzynarodowej krajów socjalistycznych (Interwizji).

## A MOŻE DRUGI PROGRAM?

Pod Łodzią trwały prace przy budowie zapowiadanego nowego nadajnika. Prasa pilnie śledziła postęp prac, które nie wróżyły niestety nic optymistycznego. „Kiedy nowoczesny ośrodek zostanie oddany do użytku?” — pytał „Express Ilustrowany”. Prace posuwały się wolno, ale 14 VIII 1960 r. „Odgłosy” optymistycznie zapewniały, że są szanse na częściowe oddanie obiektu w niedługim czasie. Ostatecznie budowa miała być ukończona 1 li-

roku podał nową koncepcję podziału obu programów. Podział nastąpił na zasadzie przemienności. Gdy jeden program prezentować będzie audycje publicystyczne, naukowe czy oświatowe to drugi w tym samym czasie prezentować będzie rozrywkę i na odwrót, gdy drugi wypełniać będzie czas programem filmowym czy teatralnym to pierwszy zapropnuje programy muzyczne. Autor uzasadniał taki podział różnorodnymi upodobaniami i poziomem intelektualnym odbiorców. Gdy dla jednego Kabaret Starzych Panów jest szczytem dobrej rozrywki dla innego staje się nudną gadaniną nie mającą nic wspólnego z prawdziwą rozrywką. Potrzeba wprowadzenia dwóch programów rosła z każdym rokiem.

## SIÓDMY KANAŁ

Rok 1962 przyniósł artykuły obiecujące nowe inwestycje i dalszą budowę Polskiej Telewizji. Zapowiadała się współpraca z filmem. „Odgłosy” doniosły że w najbliższym czasie wszystkie ośrodki telewizyjne otrzymają własne wozy transmisyjne. Ale wozy transmisyjne dla wielu ośrodków (m.in. dla Łodzi) pozostawały tylko marzeniami.

Łódzkie studio było nie wykorzystywane. Pisała o tym łódzka prasa. Nie rozwijano zaplecza technicznego. Brak było pomieszczeń towarzyszących, magazynów na dekoracje, które po każdym przedstawieniu niszczone bądź niszczone na podwórzu wieżowca. Istniały plany pokrycia dachem owego podwórza. Na długo pozostawały jedynie planami.

Rok 1962 przyniósł jednak telewizyjną sensację. Telewizja Łódź przeszła na siódmy kanał. Wiadomość ta spowodowała zamęt wśród odbiorców, z których nie wszyscy byli w stanie przestroić własnych odbiorników we właściwy sposób. Akcji przestrajania towarzyszyła wielka kampania prasowa, w której informowano o metodach przestrajania, radzono, gdzie można odnaleźć odpowiedniego fachowca. „Dziennik Łódzki” uruchomił nawet Telefon Usługowy specjalnie dla potrzeb zaniepokojonych widzów. „Czy masz kłopoty z kanałem siódmym?” — pytała gazeta, a odpowiedzi na to pytanie udzielił najpierw zdenerwowany ciągłymi kłopotami odbiorcy a później, nie będący w najlepszej sytuacji dyrektorzy ŁOT.

## WŁASNYMI POMYSŁAMI

W kwietniu 1964 roku prasa donosiła o zbliżającym się końcu budowy wielkiej magistrali tele-radiofonicznej, która połączy ZSRR, Polskę, CSRS i NRD i liczyć będzie 4 tys. kilometrów z czego na terenie Polski przebiegać będzie 400 km. Za jej pośrednictwem można przeprowadzić jednocześnie 120 połączeń. Uwaga prasy skupiała się jednak wokół budowy Centrum Telewizyjnego w Warszawie. Łódzkie gazety donosiły o tej budowie ośrodka w Zygrach. Obiekt miał być oddany w roku 1967 ale już od 1965 na placu budowy często przebywali reporterzy.

Ośrodek przy Narutowicza, mieszczący się nadal prawie w tych samych oknach na początku pomieszczeniach, niewiele zyskał na nowoczesności i polepszeniu zaplecza. Dzięki własnym pomysłom racjonalizatorskim i zaangażowaniu zespołu w 1965 r. w studio pojawia się kamera spikerska wykonana pięciokrotnie tańszym kosztem aniżeli taka sama sprowadzona z zagranicy. Skonstruowano urządzenie zwane „sztywnym horyzontem”.

„Za dwa lata II program telewizyjny” pisał „Dziennik Łódzki” w roku 1966. „TV w duplecie i kolorowa” dodawały optymistycznie „Odgłosy”. Prace nad telewizją kolorową trwały. Był to temat frapujący wszystkich niemal dziennikarzy, którzy chętnie odwiedzili instytut w Międzylesiu. Specjaliści odbierali już tam pierwsze programy barwne z Londynu i Moskwy. 21 IV 1966 odbył się pierwszy prasowy pokaz telewizji kolorowej w Polsce. Prasa poinformowała, że w 1967 telewizja kolorowa może stać się powszechną rzeczywistością.

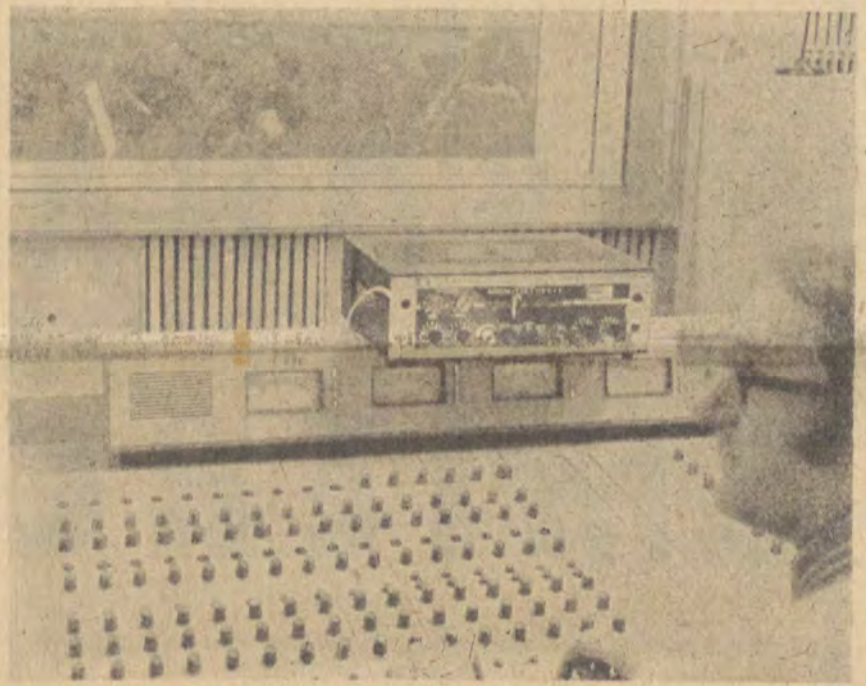
7 lutego 1966 oddano do eksploatacji pierwszy polski wóz transmisyjny. Prasa wyraża nadzieję, że może produkcja krajowych wozów transmisyjnych zaspokoił zapotrzebowania wszystkich (m.in. Łodzi) ośrodków telewizyjnych.

Łódzian najbardziej jednak interesowała budowa ośrodka w Zygrach. Będzie to najwyższy maszt w Europie liczący 359,5 metra. Zygrzy rozpoczęli ostatecznie pracę w czerwcu 1968 roku, pracując początkowo jedynie w celu sprawdzenia aparatury. Jednak od lipca tego roku telewizyjnie dobrał pierwszy sygnał z nowego nadajnika. Zygrzy nie zapisały się jednak chwalebnie kartą w początkach swej działalności. Ciągłe awarie, zły obraz, zakłócenia dochodzące do kilkugodzinnych przerw w programie przyczyniły się do ukućcia żłośliwego przydomka „Zgrzywy” dla tej nowo oddanej stacji. Kłopoty tłumaczono prototypowymi urządzeniami, nie dotartą aparaturą, jednak nie wszystkie tłumaczenia trafiały do przekonania poważnie zawiadzonym widzom.

W tym samym roku oddano nowoczesne Centrum TV w Warszawie.

## MACIEJ ŁUKOWSKI

# TAKI BYŁ POCZĄTEK



Fot. WŁODZIMIERZ PARYS

raźne zahamowanie w stosunku do innych nowo powstałych ośrodków telewizyjnych w Polsce.

## MARZENIA O KOLORZE

O telewizji kolorowej znowu zaczęto pisać. Planowano wtedy, że pierwsze telewizory kolorowe pojawią się na rynku w roku 1965.

Łódzka prasa oburzała się na postanowienia Warszawy. W sferze eksperymentów i prób pracują w Warszawie urządzenia zwane telerecordingiem i ampeksem. W grudniu 1960 roku, gdy warszawskie studio z powodu przebudowy zostało zamknięte, ampekсы i telerecording miano przenieść do Łodzi. „Jak nie wychodzi to do Łodzi” oburzały się wtedy „Odgłosy”, wytykając wady urządzeń i bardzo słaby wynik ich prób w Warszawie. Telerecording psuje jakość obrazu, wypacza wartość widowską, czyni nieczytelny złożony obraz telewizyjny. Ampekсы choć daje lepsze wyniki, też nie jest doskonałością.

W roku 1960 zasięg Telewizji Łódź wynosił 75 km i wspominało się już o nowym nadajniku 10-krotnie większym i o budowie nowego ośrodka. Ciągłe były kłopoty z uzyskaniem połączenia z Poznaniem, Wrocławiem czy Katowicami. Ale zaczynały się wtedy pierwsze próby włączenia Polskiej Te-

stopada. Nowy nadajnik miał rozpocząć pracę dopiero po specjalnym dostrojeniu, w czasie którego miał pracować jeszcze stary, umieszczony w wieżowcu przy ul. Narutowicza. Pierwszego listopada nowy nadajnik nie został jednak oddany. Z tygodniowym opóźnieniem ruchomiono urządzenie, które zwiększyło zasięg łódzkiej telewizji do 100 km.

Prasa pisała, że ciągle odczuwa się brak pomieszczeń studyjnych w Polsce. Gdy ilość audycji realizowanych z jednego studia jest większa, powoduje to kłopotliwe, szybkie wymiany dekoracji, a co za tym idzie niemożność budowania dekoracji bardziej złożonych i z trwałszych materiałów. W dobrej sytuacji była Łódź, której studio było dosyć rzadko wykorzystywane. Dlatego też Ośrodek Łódzki jako pierwszy w kraju przygotował dekoracje piętrowe, w których grali aktorzy, czyli ich trwałość i masowość nie budziła wątpliwości.

W Instytucie Łączności trwały próby nad wprowadzeniem czwartego pasma, gdyż mimo odpowiedniego podziału kanałów ich liczba jest zbyt mała i w najbliższej przyszłości stanie się zupełnie niewystarczającą. Bez wprowadzenia nowego pasma nie można było planować uruchomienia II programu TVP. Na ten temat trwały ciągle dyskusje, wysuwano przypuszczenia i propozycje.

„Głos Robotniczy” z 29 XII 1961

# PRZECIWKO "IDEOLOGII ŚMIERCI"

Opowiadanie „Tysiąc i jedna śmierć” ogłosił Krleża w roku 1928 na łamach zagrzebskiego czasopisma „Kuljevnik. Swym tytułem zbierało ono jakby liczne śmierci z nowel wcześniejszych: „Śmierć Floriana Kranjčevca”, „Śmierć Toma Ba-krana”, „Śmierć Jawnogreščinicy Maril...” W noweliście Krleży z lat dwudziestych śmierć panuje niepodzielnie i tytuły oddają istotną treść prozy chorwackiego pisarza. Jest to jeden z najważniejszych motywów jego twórczości.

Miroslav Krleża (ur. 1893) — to jedna z najwybitniejszych postaci literatury jugosłowiańskiej naszego wieku. W Polsce znamy go z przekładów powieści: „Powroty Filipa Latinovicia”, „Na krawędzi rozum”, „Bankietu w Bilweju”, a także tomów opowiadań: „Chorwacki bog Mars”, (przekład jeszcze przedwojenny) i „Świerzc pod wodospadem”. Znamy go także z wystawień (m.in. łódzkich) jego dramatów z cyklu gienabajowskiego, jest to tylko niewielka część jego bogatego dorobku pisarskiego, którego literacko od lat przeszło sześćdziesiąciu i wciąż nie odkładającego pióra.

Krleża jest nie tylko wybitnym prozaikiem i dramaturgiem (z tą ostatnią dziedziną łączy największe ambicje i w teatrze święcił wielkie sukcesy). Karierę literacką zaczynał m.in. jako poeta, a cykl poetycki „Balade Petrice Kerempuha” (1936, „Ballady Pietrka Kerempuha”) przez wielu krytyków uznany jest za najważniejsze jego dzieło. Najbardziej obszerną część jego dorobku stanowi wszakże eszystyka i publicystyka. Te formy wypowiedzi pisarskiej Krleża uprawiał najdłużej, co od lat bardzo wczesnych, łącząc nie z jego aktywnością w życiu literackim i publicystycznym. Już w okresie dwudziestolecia międzywojennego autor „Ballad Pietrka Kerempuha” stał się kimś, kogo zwykło się określać mianem „pisarza-institucji”, pisarzem, którego znaczenie w kulturze narodowej wykracza daleko poza rolę twórcy fikcji fabularnej. Krleża jest dla Chorwatów i Jugosłowian w ogóle wielkim autorytetem intelektualnym, ideowym, moralnym. W roku 1919 należał do kręgu założycielskiego partii komunistycznej w Zagrzebiu i trwale związał się z obózem lewicowym, stając się jej najwybitniejszym literackim przedstawicielem, inspiratorem młodego pokolenia i głównym bohaterem wielu kampanii publicystycznych. Z usposobienia był zawsze pisarzem walczącym, w wydawanych przez siebie czasopiśmie inicjował wielkie batalie o nowe horyzonty dla kultury chorwackiej i jugosłowiańskiej. Wybrał rolę mitoburcy, szargacza narodowych świętości, tropiciela „złudzeń świadomości” i kłamstw „mieszczańskiej ideologii”. W swoich felietonach, nasyconych wrażliwością i wrażliwością, w tej prozie autobiograficznej jedne z najpiękniejszych kart jego twórczości. Z encyklopedycznych zainteresowań pisarza rodzi się obszerny cykl nowych esejów. Wielkim nawrotem do czasów młodości jest powieść-rzeka „Zastawa” (Sztandary), dotąd nie dokończona (w postaci książkowej ukazały się cztery tomy, płyty drukowały w odcinkach czasopismo zagrzebskie „Forum”).

Najważniejsze dokonania literackie Krleży przypadły na wczesny okres międzywojenny (lata 1919-1928) i międzywojennie dwudziestolecie. W latach po II wojnie światowej nastąpił czas rekapitulacji, obfitujący w liczne nawroty do „dawnych dni” burzliwej młodości. Krleża publikuje ogromną serię wypisów ze swoich dzienników, przede wszystkim z lat obu wojen światowych, są w tej prozie autobiograficznej jedne z najpiękniejszych kart jego twórczości. Z encyklopedycznych zainteresowań pisarza rodzi się obszerny cykl nowych esejów. Wielkim nawrotem do czasów młodości jest powieść-rzeka „Zastawa” (Sztandary), dotąd nie dokończona (w postaci książkowej ukazały się cztery tomy, płyty drukowały w odcinkach czasopismo zagrzebskie „Forum”).

Początki Krleży stały jeszcze pod znakiem modernizmu i secesji, w latach I wojny światowej zaczyna się w jego twórczości okres ekspresjonistyczny. Poetyka ekspresjonizmu łączy się u Krleży z dramatycznym patosem lat wojny i rewolucji, częstokroć kojarzy się z utopią, bardzo często z niechęcią do przemocy. Bliższy kontakt z ideologią marksistowską skłania pisarza do porzucenia rozwichrzonej poetyki ekspresjonizmu. Nie odpowiada ona już zmiennej w latach dwudziestych sytuacji historycznej; minął okres powojennego porządku burżuazyjnego w Jugosławii. Krleża pozostaje wówczas takich form literackiego oglądu rzeczywistości, które odpowiadałyby tej zmiennej sytuacji. Głównym tematem jego twórczości w latach dwudziestych jest społeczeństwo mieszczańskie i miejsce w nim samotnego inteligenta. Krleża zajmuje się formami życia mieszczaństwa w ich wersji prowincjonalnej i peryferyjnej.

Problematyka egzystencjalna pojawia się w twórczości Krleży niezależnie od egzystencjalizmu filozoficznego i przed ukształtowaniem się jego literackiej odmiany. „Czystym” egzystencjalistą Krleża z pewnością nie jest. Obejmując perspektywę rewolucyjnej walki o zmianę świata, nie tracił wszakże z oczu losów uwikłanej w ten świat jednostki. Wielką rolę odgrywa u niego motywacja socjalna i postawa buntownicza. Obok tego pojawia się w twórczości Krleży również charakterystyczny dla egzystencjalistów absurd istnienia.

Śmierci poświęcił Krleża najbardziej fascynujące strony swoich utworów, najczęściej partie swoich powieści antropologicznych (np. w kapitalnym esejie „wspomnienie „Dzielnictwo w Agramie”). Cała właściwie twórczość Krleży soro-wadzi by można do jednego wielkiego tematu — do walki z „ideologią śmierci”. Każdym niemal zdaniem swoich tekstów chorwacki pisarz toczy walkę przeciwko panowaniu śmierci w społecznych faktach gwałtu, przemocy i ucisku, w barbarzyńskiej rzeczywistości masowych mordów i represji, w ideologii wojny i dominacji, we wszelkich postaciach „mitu zbrodni”. Krleżaśkie tragiczne widzenie losu człowieka i niekończący się tańiec śmierci w utworach tego pisarza łączy się wprost z postawą zaangażowaną, z obroną wartości humanistycznych.

JAN WIERZBIKI

Marszałek Fara-Dzong zajął miasto Ki-Ang w górnym biegu Jang — rzeki żółtej i żalosznej. Była późna jesień, tuż pod wieczór — deszcz i błoto. Ulice miasta czuły było prochem i krwią. Przeciągnął pojedynczy zaprzęg z dwoma ślepyimi mulami, przykryty żółtą ceratą. Głodny pies włókł się pod płotem za kołami wozu, które skrzypiały od ciężaru ludzkiego mięsa. Na stacji kolejowej czarna chmurą dymili zbiorniki angielskiej spółki naftowej. Z gęstych kłębow dymu wylaniał się purpurowy płomień, ogolając korony starych mowr przy szosie. Dwieście metrów od rozwalonego pociskiem budynku stacyjnego, na otwartym torze, stał kompletny skład pociągu pullmanowskiego, z olbrzymią lokomotywą, jakie widuje się po drugiej stronie Pacyfiku. Był to pociąg Marszałka Fara-Dzonga. Marszałek Fara-Dzong zajął przestarzałe umocnienia Ki-Ang na czele swej sławnej armii po czterdziestoosmogodzinnej krwawej kanonadzie. Twierdza poddała się marszałkowi na łaskę i niechęć. Jedynie kopalnia ołowiu (siedem kilometrów na południe stąd) nie chciała skapitulować. Do trzeciej po południu w stronę kopalni prażyły karabiny maszynowe, a później wszystko ucichło.

Marszałek Fara-Dzong siedział w salonie swojego środkowego pullmana i wśród monotonnego deszczu słuchał karabinów maszynowych. Kropla po kropli ześlizgiwała się krętą linią po szkło okiennych prostokątów, deszcz śląpił jednostajnie jak mąka z parowego młyna. Fara-Dzong, zwycięzca i bohater dnia (który jeszcze podczas wojny rosyjsko-japońskiej krał w Mandżurii złote zegarki i pierścienie) był zmęczony. Przy swoich stu dwudziestu ośmiu kilogramach wagi drzemał niczym rzeźniczy pies, odychając głęboko i astmatycznie, uosobienie zwałistego jak wór sadła wschodniego bożka. Przed kilkoma minutami odwiedził go wysocy dostojnicy kapiańscy, składając w holdzie przed Najmędrszym Protektorem siedmio- i półkilową masywną figurę złotego Buddy, jako dar Świętyni dla Zwycięzcy. Na audyencję do Marszałka pospieszył także dziekan międzynarodowego korpusu dyplomatycznego, Monsieur Philippe, Jego-mość w bobrowym futrze, z długą hiszpańską szczyką i dwoma psimi drapieżnymi kłami. W imieniu swego Wysokiego Rządu oraz w imieniu Kolonii Międzynarodowej, jako jej reprezentant i najstarszy wiekiem członek, Jego Ekscelencja Ministre Plenipotenciarie Monsieur Philippe ostrzegł Marszałka, że szpital hiszpańskich dominikanów (choć położony poza dzielnicą europejską) cieszy się jednak pełnym prawem do eksterytorialności, i że w związku z tym każde, najmniejsze nawet pogwałcenie znanych i usankcjonowanych praktyką konwencji Prawa Międzynarodowego mogłoby spowodować nie dające się przewidzieć następstwa dotyczące obydwu Wysokich Stron — zarówno Jego Cesarskiej Wysokości Marszałka Fara-Dzonga, jak też Rządu Republiki Monsieur Philippe'a (oraz wszystkich innych rządów, które ma on honor reprezentować z tytułu swoich pięćdziesięciu siedmiu lat życia).

J. Eksc. Monsieur Philippe pertraktował z adiutantem Fara-Dzonga, generałem Piotrem Leonowiczem Morgensem. Ten rosyjski emigrant, pilot w służbie marszałka, uratował go kiedyś od niechybnej śmierci, stając się dzięki temu generałem i osobistym adiutantem mordercy, postrachu siedmiu prowincji. Marszałek Fara-Dzong siedział w czerwonym pluszowym fotelu, oddzielony od przedniej części pullmanowskiej salonki drogowym złościstym parawanem, tak że w ogromnym kwadratowym lustrze mógł widzieć głowę Jego Ekscelencji Monsieur Philippe'a zgiętą nad mapami i po piśmie zjezoną w głębokim wewnętrznym niepokojem. Monsieur Philippe uśmiechał się jak pies, a generał Piotr Leonowicz Morgens mówił tak doskonale po francusku, jak gdyby tańczył rummy. Słuchając dźwięków nie znanego języka Marszałek Fara-Dzong poczuł nagłe do swego generała Morgensa nieokreślona i cudowna zarazem sympatię. Było to coś w rodzaju ciepłego zachwyty, jaki żywi właściciel psa, gdy ten merda przed nim ogonem. Tego rosyjskiego wyrzutka przygarnął pewnej nocy do swego wagonu niczym topieleca, a okazało się iż tej szczęśliwej nocy znalazł

sobie najwierniejszego psa. Któż inny podjąłby się pertraktować po francusku z tymi europejskimi złodziejami, kto zorganizowałby artylerię i lotnictwo, kto poprowadziłby jego podwójną buchalterię, a zwłaszcza intymne rachunki z „Hongkong and Shanghai Banking Corporation”?  
— Co z kopalnią, Morgens?  
— O trzeciej minut siedem dwa szwadrony kawalerii zaprowadziły w kopalni porządek! Siedemnaście głów wisi na bramie elektrowni!  
— A co jest z Dzu-An-Kingiem, Morgens?  
— Podpisałem rozkaz o drugiej, Wasza Cesarska Wysokość!  
— I co?  
— Wszystko w porządku, Wasza Cesarska Wysokość!  
— Chcę zobaczyć, Morgens.

powoli i uważnie opuścił Dzu-An-Kinga na trociny i wyrzekł z satysfakcją jedyną dwa angielskie słowa jakie znał: all right!

All right, Morgens! Dzu-An-King wyznaczył za swoją głowę dwadzieścia pięć tysięcy dolarów? Przybijcie go na głównym placu do telefonicznego słupa! Wydrukujcie afisze, że Dzu-An-Kinga już nie ma! All right!

Deszcz. Fabryczne ogrodzenia. Zmierzch. Ogień z płonących zbiorników angielskiej spółki naftowej. Zabłociona główna ulica z porożbijanymi reklamami. Jeden szwadron kawalerii przeciągnął z głową generała i buntownika Dzu-An-Kinga przez miasto i przybił to drogocenne trofeum na głównym placu przy dźwię-

demonstracji, kiedy Morgens ze swoim szwadronem otworzył ogień do tłumu, ktoś oderwał sobie wskazujący palec i takim uciętym, zakrwawionym palcem, jak kredą wypisał na drewnianej tabliczce aktualne hasło polityczne. Piotr Leonowicz Morgens siedział tak nad swoim referatem i porządkował nudny statystyczny materiał na temat feudalnych stosunków rolnych w prowincjach północnych, przeludnieniu i przemysłowym charakterze centrum kraju, o syndykalnych hasłach i republikańskich tezach a la Washington, które pojawiły się wśród inteligencji na południu, kiedy nagle zdało mu się, że pióro trzymane w dłoni to ów zakrwawiony odcięty palec wskazujący i dopiero stuk oprawki o szkło przywrócił go do rzeczywistości. Pociąg pełnił z wolna, ostrożnie, z szybkością osiemnastu kilometrów i przez okno widać było ogniste parabole iskier, powoli i ciężko spadające z komina lokomotywy. Za złotym parawanem chrapała Jego Cesarska Wysokość Marszałek Fara-Dzong. Morgens podniósł się, czując maniacki przymus umycia rąk. Długo szorował swoje dłonie nad umywalką, polewając je silnym rozwiorem lizolu i myśląc o strasznej i krwawej głowie Dzu-An-Kinga i o tym, że drut przewleczony przez jego nozdrza był właściwie zardzewiały.

— Komiczne! Dzu-An-King mógł się już wcale nie bać zakażenia!

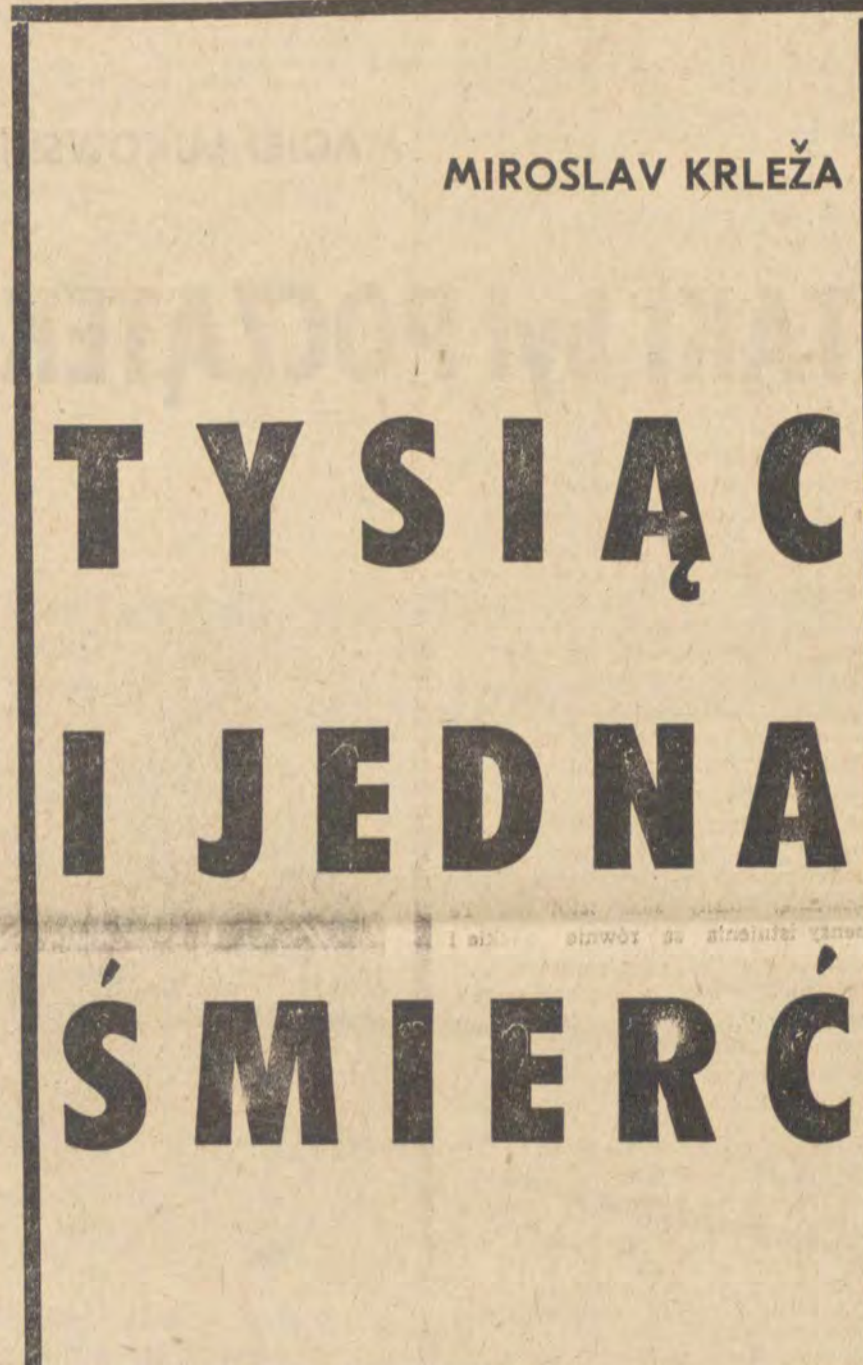
Siadł z powrotem przy stole i zaczął przepisywać cyfry według rubryk, a później wziął ostatni numer „Daily Worker” i zatopił się w jakichś mrzonkach o sorelowskiej „Action Directe”, karabinach maszynowych, o Moskwie, Konfucjuszu, Buddzie i Chrystusie. Rzucił gazetę. Kilka razy przeszedł wzdłuż wagonu. Czuł jak rośnie w nim niepokój. Otworzył okno. Na zewnątrz padał śnieg z deszczem, wszystko było zakopcone. Zamknął okno, wziął słuchawki od radia i otworzył aparat.

Radio Szanghaj! Hotel Esplande! Marsz Hugonotów Meyerbeera. Hotel Continental w Hongkongu: La rose bleue, blues, Bangkok! Hotel Carlton: Valencia. Czarna olbrzymia przestwórnia i pustka. Gdzieś tam słychać jakiś transoceaniczny statek, jakaś syberyjska, rosyjska radiostacja nadaje szfrowanym Morse'm, a w tle stale to samo: Bangkok! Hotel Carlton: Valencia!

Piotr Leonowicz Morgens, który już piętnaście lat żyje wśród śmierci i rzezi, w odorze trupów i smrodzie prochu i krwi, poczuł pragnienie cichej błękitnej przestrzeni. Rozgwieżdżonej nocy na oceanie, oświetlonego luksusowego jachtu, na którym panowie w frakach tańczą charlestona i gdzie wszędzie jest na swoim miejscu: i słowa, i plastrony i ruchy. O, gdyby mógł teraz znaleźć się pod ciepłą pościwią kalifornijskiego księżycy, tam gdzie kwitną pomarańcze i gdzie świetliste lakierowane kadillaki pędzą alejami wśród palm i kaktusów! Tam, obok, chrapie ten krwawy bawół, Jego Cesarska Wysokość Fara-Dzong. Złoty, siedmio- i półkilowy Budda błyszczy w świetle żarówki (na tym samym stole, gdzie stała dziś głowa Dzu-An-Kinga), sypią się iskry, pociąg powoli jęczy na zakrętach, słychać zawodzenie parowozu, a Hotel Carlton w Bangkoku gra Valencję. Dziś on trzymał głowę Dzu An-Kinga, jutro jakiś Dzu-An-King trzymać będzie w ręce Fara-Dzonga, a potem znów Fara-Dzong Dzu-An-Kinga, i tak głowa głowę, głowa głowę, bez końca i beznadziejnie. I zawsze będą padać takie deszcze, jęczące lokomotywy i w radiu słychać będzie bzykanie dalekich szfrow Morse'a, jak moskitów wśród tropikalnej nocy: bz-bz-zb! A w tym odorze trupów, śmierdzących jaj i dymu, pośród chińskich znaków pisanych odciętymi palcami, on będzie tęsknić za rozjarzonymi hotelami, za dolarami, za gwiazdzistą nocą, za muzyką. Zagłębiony tak w fotelu, z głową spuszczoną na pluszowe oparcie i słuchawkami na uszach generał Piotr Leonowicz Morgens wziął ze stołu swój browninę i obilzawszy łufę jak dziecko smoczek, wypalił sobie w usta.

Przełożył: JERZY CHMIELEWSKI

(Z tomu przygotowanego do druku w Wydawnictwie Łódzkim)



MIROSLAV KRLEŽA

# TYSIĄC I JEDNA ŚMIERĆ

General Piotr Leonowicz Morgens sklonił się Marszałkowi głęboko w pasie jak brzytwa i wyszedł z wagonu. Po dwóch minutach wrócił z trzcinowym koszem, mokrym jeszcze od świętego deszczu. Kosz był płaski i okrągły, z wyplataną pokrywą, pod jaką na południu przechowyje się figi. General Piotr Leonowicz Morgens postawił kosz na marmurowym stole i stanął obok Marszałka nieruchomo i sztywno. Pociąg właśnie się zatrzymał. Słychać było deszcz na blaszanym dachu pullmana, a jeden z kucharzy w pierwszym wagonie uczył cicho starą zapomnianą melodię tybetańską.

Rozparty w czerwonym pluszowym fotelu Marszałek kiwnął prawym wskazującym palcem, dając znak generałowi by otworzył koszyk. General Morgens brzęknął ostrogami, ponownie zgiął się w pasie jak brzytwa i ostrożnie, jak gdyby otwierał pek świeżych bananów, podniósł płaską pokrywę. W trocinach i liściach morywy leżała zakrwawiona i posiniąta już głowa generała Dzu-An-Kinga. Przez nozdrza martwego generała przeciągnięty był drut, a lewe jego oko patrzyło szaro, bezbarwnie, niczym oko śniętej ryby. Marszałek Fara-Dzong przysunął się do stołu, schylił nad koszem, złapał drut przeciągnięty przez nozdrza i podniósłszy głowę Dzu-An-Kinga trzymał ją tak w ręce. Zakrzepła krew i trociny przylepiły się do gardzieli tworząc tłustą czarną maź, ciągnącą się od głowy Dzu-An-Kinga aż do morwowych liści w koszu jak wypluta guma do żucia. Wszystko to trwało dość długo. Marszałek oglądał zakrwawioną głowę Dzu-An-Kinga, zgnile rybie oko generała, jego posiniąte krwawe wargi, a potem

kach trąbki i rzeniu koni. All right!

Pullmanowski skład pociągu Fara-Dzonga włókł się powoli przez noc, zostawiając za sobą senne, nieoświetlone stacyjki na długiej górskiej linii. General Piotr Leonowicz Morgens nie miał jeszcze ochoty spać. Był także zbyt ociężały, aby wziąć się do jakiegokolwiek konkretnego zajęcia. Siedział właśnie nad referatem, który z rozkazu Marszałka miał sporządzić na temat sytuacji politycznej w związku z zamętami na południu kraju. Referat dla amerykańskich bankierów z Szanghaju. Właściwie podła szpiegowska robota. Morgens był zmęczony. Myślał o Chinach, o swojej tęsknocie za tymi Chinami, które śniły mu się jeszcze w gimnazjum, jak obrazek na paczce herbaty. W tych dawnych, gimnazjalnych Chinach kwitły lotosy, mosty były lakierowane na czerwono, a mandaryni słuchali śpiewu słowików i patrzyli na księżyc w gałęziach czeresni. Jedwabne lampy o zmroku, liryczna cisza, dźwięki z bambusowymi masztami i żaglem z maty.

— Z tych wszystkich bażantów, pagód, księżycowej pościwy i kwiatów, co zostało? Pijacki blues z amerykańskimi dziewczkami, w dzielnicy dyplomatycznej na herbaacie w jakiegoś konsula, przy akompaniamencie cytry, saksofonu i drewnianego murzyńskiego bębna z Konga. Tunguskie hieny i agenci w marszałkowskich mundurach, wygalowani złotem, białymi piórami labędzi i końskimi ogonami. Śmierdzące jaja jako smakolek. Szpieg, któremu wpycha się szczura do odbytnicy rozpalonym żelazem.

W pewnym porcie na południu, przy okazji jakiejś głupiej ulicznej



Fot. Andrzej Wach

## BERNARD SZTAJNERT

Bernard Sztajnert urodził się 4 lutego 1927 roku w Łodzi. W dwunastym roku życia, z chwilą wybuchu wojny, podjął pracę zarobkową, m. in. jako goniec, robotnik, urzędnik. W czasie okupacji był więźniem Pawiaka i hitlerowskiego obozu koncentracyjnego. Po wojnie, w latach 1948-1952 studiował filozofię na Uniwersytecie Łódzkim.

Debütował jako poeta na łamach łódzkiej „Kroniki” w 1955 roku. Swoje utwory publikował w „Kamieniu”, „Odgłosach”, „Życiu Literackim”, „Współczesności”, „Literaturze”, „Twórczości” i w innych czasopiśmie. Pierwszą książkę, a był nią tom wierszy, wydał w 1958 roku. Do chwili obecnej dorobek jego liczy dwanaście książek, w tym trzy tomy wierszy („Chwila ahisteryczna” 1958, „Odwrocony kamień”, 1963, „Obecność” 1969), trzy tomy opowiadań („Tajemnica Maksa Hallera” 1960, „Obwód północny” 1967, „Śmierć prokuratora” 1973), pięć powieści („Narodziny Brunona Bundera” 1962, „Ulica Wilcza” 1963, „Grupa pięciu” 1966, „Historia ucznia” 1966, „Księga zdarzeń” 1968), oraz jeden tom felietonów („Bez strachu” 1970). W roku bieżącym na łamach „Odgłosów” rozpoczął druk drugiej serii felietonów pt. „Sprawy ludzi”. Aktualnie jest wiceprezesa Łódzkiego Oddziału Związku Literatów Polskich.

Sztajnert większość swego życia spędził w Łodzi. Miasto to jest trwałym elementem jego literackiej wyobraźni. Akcja większości jego utworów toczy się tutaj, w starych łódzkich kamienicach, na przedmieściach, w urzędach i instytucjach miasta. Jak rzadko kto potrafił stworzyć sugestywny obraz tego miasta, zwłaszcza zaś oddać jego klimat duchowy. Czas akcji pokrywa się niemal dokładnie z latami życia autora. Sugerowałyby to istnienie w tej twórczości momentów autobiograficznych. Niewątpliwie odgrywają one ogromną rolę, jednak stopień przetworzenia własnej materii życiowej w dzieło sztuki jest tak duży, iż mimo podobieństw fabuły powieściowej do perypetii samego autora niepodobna nakreślić granicy między prawdą a zmyśleniem.

Stałym niejako bohaterem Sztajnerta jest poeta-urzędnik. Postać ta przejawia się przez wiele jego utworów jako Maks Heller, Brunon Bunder lub Klaudiusz. Bywa, że postacie te pojawiają się również w wierszach Sztajnerta. W ten sposób pisarz tworzy świat jednorodny we wszystkich utworach powiązanych postaciami bohaterów, typem reakcji podmiotu na świat, rodzajem prawd poszukiwanych przez bohaterów i reprezentowanych przez nich postaw. Związki między tekstami są bardzo wyraziste, jak np. układające się w trylogię powieści „Narodziny Brunona Bundera”, „Ulica Wilcza”, „Grupa pięciu”, bądź też mniej wyraziste, dostrzegalne jednak, ponieważ prawie wszystkie utwory Sztajnerta posiadają narrację pierwszoosobową, a narratorzy prezentują podobny typ osobowości.

Osobowość dla Sztajnerta nie jest czymś stałym, niezależnym. Być może ujawnia się, być może zostaje powołana do istnienia z chwilą nawiązania przez podmiot kontaktu ze światem. Świat dla bohaterów Sztajnerta jest konkretny przede wszystkim przedmiotowy. Nawet inni ludzie ukazują się narratorowi tak, jak przedmioty, ich podmiotowość jest nieprzenikalna, niemożliwa do uchwycenia, niepoznawalna. Innych — podobnie jak w świecie homeryckim — rozpoznaje się i określa przy pomocy jednej, łatwo

zauważalnej cechy fizycznej, tak np. Mirek jest prawie zawsze czarnowłose, Ignac — mały i garbaty, pan Artur — w sznurowanych bryczesach bez wysokich butów. Określenia te nie są typowym dla literatury współczesnej fragmentem opisu bohatera, posiadają charakter epitetu, podobnie jak Homera jutrzienka jest zawsze różanopalcą.

Dla narratora prozy Sztajnerta konkret jest zawsze zewnętrznym przejawem treści głębszych. Jego bohater nieustannie usiłuje odczytać głębsze znaczenie sfery przedmiotowej, z którą styka się na co dzień. Jest to jednocześnie poszukiwanie prawdy i nadawanie ludzkich sensów światu rzeczy. Te ludzkie sensy to przede wszystkim wartości moralne. Sztajnert nie wierzy w żadną moralność mogącą obowiązywać całą ludzkość, w ogóle pojęcie „całej ludzkości” jest dla niego puste. Istnieją tylko konkretne jednostki, będące całością psychofizjologiczną, z trudem budującą własną sferę symboliczną, własny sens istnienia. Te sensy istnienia są równie kalekie i przypadkowe jak przypadkowa jest jednostka ludzka, w przeciwieństwie np. do gatunku ludzkiego. Jednak nie gatunek jest twórcą wartości, ale uolonna jednostka. Stąd też nawet i proces twórczy traktuje Sztajnert jako proces biologiczny:

„Wyznaje biologiczną koncepcję, zwłaszcza w odniesieniu do powieści. Powieść jest kategorią piśmienniczą, którą zorganizować sobie można tylko do pewnego stopnia. Sam zamiar to często sprawa wątpliwa, ponieważ jest zasadzona wyłącznie w intelekcie. Natomiast powieść powstaje w oparciu o wszelkie dyspozycje psychiczne, także pozaintelektualne. Człowiek sferą intelektualną, świadomą ogarnia tylko drobne pasmo pamięci”.  
W związku z tym, twierdzi Sztajnert, celem pisarstwa jest

„otwarcie bram do złóż pamięci takich, których intelekt w codziennym, krztliwym życiu nie ewidencjonuje”.  
Zestawiano niejednokrotnie twórczość Sztajnerta z pisarstwem Franza Kafki. Niewątpliwie istnieją tu podobieństwa. Świat urzędów i urzędników, niejasność praw rządzących światem, poszukiwanie symbolicznych wartości rzeczy, ogólna perspektywa moralistyczna wskazują na dziedzictwo, którego i sam Sztajnert nie wypiera się. W zestawieniach tych chodziło jednak przede wszystkim o znalezienie klucza do interpretacji pisarstwa Sztajnerta.

Jest to pisarstwo konkretność, całe jednak skierowane ku wartościom i znaczeniom. Czytelnik jest tutaj w podobnej sytuacji jak narrator-bohater prozy Sztajnerta. Styka się z konkretnym, którego głębszy sens musi zrozumieć, nie ma wszelako danych żadnych wskazówek, żadnych dróg. Wszystko dzieje się na tej płynnej granicy między rozumieniem sensu a nadaniem sensu. Sprawy komplikuje jeszcze coraz częściej pojawiający się u Sztajnerta element humoru i ironii. Tak więc jednorodna całość, w której zacierają się granice między prozą, poezją i felietonem, nieustannie się wzbogaca, każąc czytelnikowi powracać do utworów dawniejszych i odczytywać je na nowo.

JERZY PORADECKI

### Dalszy ciąg ze str. 1

purpurantów, że „papier święty przez dobro Rzeczypospolitej łatwiej to rozgrzeszy”.

Z obszernymi mowami przeciw małżeństwu wystąpił w imieniu senatu kasztelan Górki podkreślając, że cały senat nie pochwała ożenku króla i ma do tego „wiele słusznych przyczyn”. W zdenerwowanej oporem tronu łzie popleckiej doszło do tumultów, zdemolowano salę, odgrażano się królowi. Pod naciskiem tego falowego ataku Zygmunt August począł się chwiać, myśleć o abdykacji podkreślając, że „do ostatniej chwili” będzie stał przy swej żonie. Na wieść o tym hetman Tarnowski i kanclerz Maciejowski naszli go w nocy i, upadłszy krzyżem, błagali, by nie narażał państwa na przesilenie.

Król zrezygnował z tych projektów, w dalszym ciągu, już bez najmniejszych wahań, podtrzymywał swe stanowisko. Zdecydowana postawa Zygmunta Augusta spowodowała, że ugodowo nastawieni dygnitarze poczęli poszukiwać rozwiązania kompromisowego, sugerowali mu dwukrotnie, że za cenę zrzeczenia się koronacji Barbary może uzyskać od sejm ugodowe małżeństwo i podjęcie normalnych obrad według proponowanego przez niego porządku dziennego.

Król zwrócił się z tą propozycją Radziwiłłom, którzy wystąpili z najbardziej zdecydowanym sprzeciwem. Utwierdził monarchę w poprzednim zamiarze Czarny, również jednak i Rudy przedkładał, że takie rozwiązanie sprawy rozdziłoby nie tylko w godność królewskiej małżonki lecz także i w uprawnienia ewentualnego potomstwa. Między sobą Radziwiłłowie komentowali



ZYGUNT AUGUST

ten plan, że niekoronowanie Barbary stanowiłoby dla nich kompromitację. Czarny pisał: „wtedy każdy rzecze, że przeto nie dopuszczono obojętnej koronacji, że była tak, jako o niej dziś wóbec i pisza i gadają”. Z całą pasją forsał też plan koronacji. Król bardzo chętnie dał posłuch tym radom, w gruncie rzeczy nie myśląc ustępować szlachcie, i odrzucił dwukrotnie przedkładaną mu przez senatorów koronnych propozycję, by zrezygnował z koronacji Barbary, odraczając ją jedynie, za radą Tarnowskiego i Maciejowskiego, do przyszłego sejm.

Jego stanowiska nie zdołały zmienić wszelkie prośby i groźby, wszelkie manewry wytrwałych działaczy sejmowych i biegłych w rozrywkach politycznych dygnitarzy. Wszem i wóbec okazał, że Barbary, ze złożoną jej przysięgą, jest dla niego ważniejsza niż wszystkie królestwa. Z drugiej strony zreszcie kontratakował. Istnieją wartygodne poszlaki, że dwór przekupił pewnych przywódców opozycji. Dotyczyło to m.in. słynnego Lupy Podłojewskiego, który natychmiast po sejmie otrzymał królewskie nadania, nie wiec dziwnego, że w literaturze ulotnej ogłoszono, że Lupa „ślupie gaski (tj. szlachcie) zdradzał”. Tym należy chyba tłumaczyć fakt, że głośny trybun szlachecki zamilkł już na dwa tygodnie przed zakończeniem sejm. Chwiali się w swym opozycji dygnitarze, szlachta próbowała jednak w dalszym ciągu nacierać. Badająca te sprawy I. Kaniewska pisze, że sytuacja wyglądała farsowo. Postawie bronili autorytetu senatu, na ogół wbrew jego ochłom. Król nie zadowolony z programu egzekucyjnego, w ramach którego nieopirnie umieszczono żądanie oddalenia Barbary. W tym stanie rzeczy szlachta nie przeprowadziła żadnego ze swych postulatów, sejm został faktycznie zerwany. Zygmunt August odjął o swój autorytet królewski rozpoczął wszakże sprawowanie sądów, co wóbec niepotwierdzenia praw koronnych na sejmie nie było formalnie prawomocne. Większość jednak poddała się decyzjom władcy. W utrzymywanych w poważnym tonie

mowach sejmowych, w obradach świadczących, mimo pewnych incydentów o kulturze politycznej naszego parlamentaryzmu, nie podnoszono drastycznych szczegółów dotyczących obyczajów Barbary. Z podtekstu wystąpienia, z różnych napomknien wynika wszakże, że nie miano o niej dobrego mniemania. Nawet strona królewska nie próbowała kruszyć kopli w obronie jej reputacji. Broniący małżeństwa i występujący przeciwko dzieleniu „rzeczów królewskich” na głowy poddanych biskup Maciejowski nie ukrywał, że nie zachwyca się małżeństwem, lecz broni go z innych powodów.

Nie stanowiły komplementu dla Barbary słowa:

„Nie byłem przyczyną królowi, aby on z konia padłszy, miał wywinąć nogę, lecz się to już stało; sadiłbym gołie nogę królewską, nie ucinać jej”.

W jednym z oświadczeń od tronu podkreślano, że małżonka pochodzi ze stanu rycerskiego, jest „równa i wolna” szlachecką lecz dodano dość znamienne słowa, że „poczciwość żona z męża a nie mąż z żony bierze”. Wiadać ta „poczciwość” Barbary była nawet dla otoczenia królewskiego rzeczą wiele wątpliwą, jeżeli młglicie wskazywano, że małżeństwo umoralni Barbarę. Opozycja wypowiadała się oczywiście kąśliwie. Biskup Działuski o twierdzenie mówił królowi, że nie ma podziału, by chwalić się swym małżeństwem, „sam go WKM nie chwali, bo nie masz co”. Król na to nie replikował. Różne aluzje spotykało się w

„To orliśko uporne wazy wszystkie lekcje: Jako te geś osiódł, tak jej puścić nie chce”.

W okresie piotrkowskich debat Barbara przez cały czas przebywała pod opieką Mikołaja Korczyńskiego w Nowym Mieście Korzyńskim. Droga do Piotrkowa nie była stamtąd daleka, nasza bohaterka o toczących się rozrywkach miała jednak bardzo mgliste pojęcie. Wynikało to stąd, że troszczył się o jej spokój i samopoczucie król zabrał Rudemu komunikować żonie wieści o sporach dotyczących małżeństwa, lekając się aby z tego powodu „w jaki fraszek, albo też, czego Boże uchwaja, i w chorobie nie wpadła”. Niemniej jakiegoś wiadomości do niej docierały. Jest rzeczą znamieną, że Barbara wcale nie interesowała się przebiegiem sporów o swą królewską karierę. O koronie nie zabiegała ani dawniej, ani podczas ostatniego pobytu w królestwie Radomiu. Na ten temat nawet z nim nie rozmawiała! Goniacy za zaszczytami, marzący o tym, by korona przyobodziła dom radziwiłłowski Mikołaj Czarny nie mógł jej tego wybaczyć, nie znalazł i z tego powodu słów oburzenia. W licznych listach wypowiadał się wtedy bardzo krytycznie o krewniacze, dostrzegając w niej rozmaite wady. Echa tych zjadliwych musiał dobieść do uszu Barbary, która wysłała mu do Piotrkowa także kilka pełnych irytacji listów. Czarny zareagował wybuchem, w swej korespondencji do Rudego oburzał się na jej niewdzięczność tak wobec siebie, jak rzekomo na króla, podnosząc jakie trudy i starania musi podejmować na sejmie w tej sprawie.

Jej głowę zaprzętały za to wiadomości, podszeptane przez usłużnych dworaków czy też intrygantów, iż król

ZBIGNIEW KUCHOWICZ

## DECYDUJĄCE STARCIE

miewa w Piotrkowie jakieś przygody erotyczne, iż przestaje ją kochać. Zygmunt August w odpowiedzi na te zarzuty kół ja zapewnieniami o swej stałości. Delikatnie tylko czynił wyrzuty, iż większą wiarę daje plotkom niż jego zapewnieniom.

Wiemy, że w Piotrkowie Zygmunt hazardował swój tron w walce o uznanie żony, wiemy, że mimo tyłu przeciwności miał czas troszczyć się o jej zdrowie, samopoczucie, składał dowody czułości i pamięci. Można nawet podziwiać, że nie zapomniał o drobnostkach dotyczących pobytu żony w Korzewie, instruował np. jakie prezenty ma dawać „na kolędzie” dworzanom. Wszystko razem przemawia za tym, że jednakowo gorąco ją kochał. Nie znaczy to jednak — sprawa jest otwarta — czy rzeczywiście po nerwowych napieciach nie odczuwał czasem przy boju jakiejś nalaźnicy, o czym właśnie doniesiono Barbarze. Ewentualna przystępność nie miała jednak najmniejszego znaczenia w jego stosunkach z Barbarą.

Mniemam, że pretensje Barbary, jej obawy o jego małżeńską stałość, przy całkowitej obojętności wobec sporów o koronę, mogły przypaść mu do gustu. Był człowiekiem inteligentnym i zdawał sobie sprawę, że jej reakcje są spontaniczne i szczerze, wynikały zaś z nich jasno, iż Barbarze zależę jedynie na jego osobie, uczuciu, nie zaś na władzy i koronie. Wynikało, że małżonka cenę w nim walory osobiste, nie zaś monarchy piaszcz i ewentualny współdziałal we władzy. Świadomość, że kocha go i obawia się utracić, że dąży go miłością nie za Jagiellońskie tytuły i skarby, musiała sprawić mu wielką satysfakcję. W mniemaniu Augusta Barbara po obradach piotrkowskich nie była niewdzięczna, jak to sugerował Czarny, lecz kochała go i której warto było toczyć dalsze boje. Mimo opozycji i wszelkich wrońch demonstracji Zygmunt August postanowił powieść żonę na królewski Wawel.

C.d.n.

# OPOWIADANIE



I nadeszła wreszcie sobota, wigilia odjazdu. MAŁPI GAJ był tego świadkiem. Gruby Andrzej pośliznął znaczek i przybił go pięścią w paszportcie. To samo ja zrobiłem, po mnie Igor. To samo chciał zrobić Stefan, ale kiedy zwrócił się do Silwany:

— No, na co czekasz, dawaj nasze znaczkil...  
Dziewczyna podstawiła mu do uderzenia policzek, mówiąc:  
— Zabij mnie, nie wiem co się z nami stało.

Uderzył, oczywiście. O, poleciała mu ręka. Dziewczyna wyrzuciła głowę o ścianę i znieruchomiała na podłodze. Wstając, powiedziała:  
— Słusznie mi się należało!  
Więc uderzył jeszcze raz.  
A potem:  
— W domu szukałaś?  
— Tak.  
— Pokaż torbę.  
Nie było w torbie.  
Rozbiegliśmy się po mieście. Czas, który dotąd płynął jak angielski walc nad ranem, zaczął nagle umykać w rytmie foxtrota. Trudno pożytyć cztery tysiące w wolną sobotę. Jeszcze trudniej, jeśli jest to koniec miesiąca.

Po godzinie mieliśmy sześćset złotych.  
Po dwóch — dziewięćset.  
O ósmej wieczorem, dokładnie: jedenaście godzin przed odjazdem, Gruby wpadł na pomysł, że uratuje nas chałtura.

— Skąd ją wzięliśmy? — zapytał.

— Podbiore.  
— Komu?  
— Mazgajowi. Ma noc w Ozorkowie.  
— Nie przejdzie ten numer — powiedziałem.

— Przejdzie! Telefon!  
Zostawiając dziewczynę w MAŁPIM GAJU, pobiegliśmy we czterech na pocztę. W kabinie gibał się z nogi na nogę jakiś żul. Zapukałem w szybę:

— Prędeż!  
Wciąż się gibał.  
Jeszcze raz zapukałem:  
— Panie, jak Boga kocham, gardło-wa sprawa!

— Zaczekaj! — zdenerwował się Stefan. Szarpnął drzwiami i jedną ręką przerywając połączenie, drugą wyciągnął żulą za włosy.

— Co to ma znaczyć?! — ryknął napadnięty.  
— Czeczcz... Jesteśmy milicja!  
Gruby już kręcił, przytrzymując słuchawkę barkiem i owijając chusteczką mikrofon. Kiedy po drugiej stronie udeźwał się głos, zapiszczał:

— Halo?... proszę czekać... zamiesz-cowa. Halo, halooo?... Ozorków?... proszę mówić!

— Mazgajski — zachrobotało w membranie. — Słucham!...  
— Zastępca dyrektora, Matusiak — powiedział Andrzej zatykając dwoma palcami nos.

— Wszystko w porządku, panie dyrektorze — trzeszczała ochoczo membrana. — Zaraz przyjeżdżamy. Proszę przekazać dyrektorowi Kaweckiemu...  
— Niestety. Dyrektor Kaweckie zmarł przed godziną w szpitalu.

— O Boże!... Co się stało?... Zzzabawy chyba nie odwołacie?...  
— Owszem! Po to do pana dzwonię. Zdaży pan chyba uprzedzić kolegów?

— A umowa?...  
— Umowa? Panie, do jasnej cholery! My tu mamy żalobę, rozumiesz pan?! — I Grubas odwieśił z pasją słuchawkę, mówiąc jednocześnie do oniemiałego Igora:

— Rusz się, pajacu! Zamów przy okienku Ozorków!  
— Ja?...  
— Ty! Wszyscy maczamy ręce!  
— Bo to jest wspólna afera! — wtrącił Stefan.

— Zgoda — uśmiechnął się Igor. Podszedł niespiesznie do bladości, obserwowującej go z trwogą urzędniczki. Czekaliśmy.

Dziesięć minut zbiegło. Piętnaście. Nikt się nie zgłasza — powiedziała urzędniczka.

— Zgłosił się! — uciął Grubas. I do mnie:  
— Spakowany jeste?  
— Tak.  
— A ty?

Igor przytaknął.  
— Ja jestem nie spakowany, Szylwana jest nie spakowana — zaskamlał Stefan.

— To na co czekasz? Idź! Spakujcie się. Za pół godziny w świetlicy.  
— Z waliżkami?  
— Bez waliżek. Zjeżdżaj!

Za kwadrans dziesiąta urzędniczka wykrzyknęła z ulgą:  
— Ozorków, panowie! Trzecia kabina.

Wpakowaliśmy się do środka. Grubas sapnął, otarł spoconą rękę w spodnie i podniósł słuchawkę:  
— Tu Andrzej Nonas z zespołu Sławomira Mazgajskiego. Z dyrektorem Kaweckim, proszę!

— Chwilczkę — zaśpiewał wysoki, kobiecy głos. A po chwili zdenerwowany bas męski: — No co tam, panowie? Jeszcze w Łodzi?

— Chyba nie przyjeździemy, panie dyrektorze. Przed chwilą nasz kierownik, Sławomir Mazgajski, ekonał w szpitalu na serce.

Rany Boskie, tak zdrowo wyglądał! Rany Boskie... Ale panowie, zlitujcie, przyjeździe! Rozestawiliśmy dwieście zaproszeń, gości mam ze Zjednoczenia...  
— Poważnie pan mówi?  
— Jak najpoważniej!

— Nie wiem, czy licuje w taki dzień... Z drugiej strony... trzeba się złożyć koleźce na wieniec...  
— No właśnie! Pieniążki zawsze się

Kto nie wierzy, mogę mu podać adres i numer służbowy. Zabrał nas. Zabrał nas, jak staliśmy. W ośmiu! Dziewięć zatem osób i nieprzebrana ilość instrumentów: kolumn, wzmacniaczy, gitar, trąbek i puzonów kolebala się warszawą przez nieświadome ulice. Na głowie miałem bęben. Na zdrewniałych kolanach — małego specjalistę od bongosów, który z kolei obejmował w pół wierzącą się z niewygody Silwanę. Przed każdym skrzyżowaniem część ludzi padała na podłogę. Czekaliśmy na krach, a przecież wyjechaliśmy z miasta. Za Zgierzem namierzył nas burek w mundurze... Zamiast gwizdać, rozdziawił gębę, jakby zobaczył kondukt Pana Boga. Przed Ozorkowem drogę zatarasowała nam milicyjna buda, ale Poldek, nie wyjmując peta z ust, zbczył w kartofliśko.

Piętnaście po dziesiątej przebił się do miasteczka od zachodu i wyhamował pod fabryką.

— Gra?  
— Człowieku! — Nurkując w gąszcz ciał i bubił pocałowałem go w zasmarowaną rękę. — Co się należy?  
— Póóóóó! Zleżę chyba z kółka. Idzie chyba wkręcić się z wami!

Szliśmy w dziesięciu środkiem sali, pomiędzy dwoma rzędami suto zastawionych stołów. Okrywał nas majestat śmierci; świętecznie przydzielili ludzie śledzili nas ze współczuciem i billi dyskretne brawo.

Kiedymy rozstawiali sprzęt, zjawili się na scenie promieniejący dyrektor. Nie wiedząc, że dla paru osób także jest już tylko zimnym trupem, napomknął.

— Coś tu za bardzo pijany — szepnął do mnie Grubas. — Trzymaj faceta na muszce.

Stroniem od kieliszka. Niepokoilem się trochę, gdyż reszta naszych wyraźnie traciła samokontrolę. Igor ostro szedł w konkury do pań, więcej tańcząc niż grając; Stefan ze zmęczenia, nerwów i pijaństwa ledwo trzymał się na nogach; Silwana niebezpiecznie dokazywała za kulisami z kierowcą... W dodatku około trzeciej nad ranem wgramolił się na scenę jakiś niepozorny czelczyzna z gitarą.

— Jest Mazgajski? — zapytał.  
— Nie. A o co chodzi?  
— Chałturkę mielim tu grać... (czy coś takiego).

— Panie! — huknął na niego Stefan. — Mazgajski kropnął wczoraj na wątrobę! Leży w szpitalu!  
— Mazgaj nie żyje? — zdziwił się puzonista.

— Dość tych żartów, koleży! — powiedziałem. — Do roboty!  
O pięć dopadłem dyrektora przy stoliku:

— Wyplata, kochany!  
— Cooo? — zerknął na zegarek, komicznie przekrzywiając głowę. — Wczas, jeszcze — wybelkotał. — Jeszcze wczas!

— Pieniądze — powiedziałem.  
— Zagrajta jeszcze dixieland.  
— Pieniądze, hajdaku! — złapałem go za krawat pod szyją, czując jak narasta we mnie chęć mordu. — No! Sięgnął ze wstrętem do kieszeni. Boże, jak skrupulatnie liczył! Sinił paluchy i odkładał na stół setkę po setce. Potem jeszcze sprawdzał. Potem jeszcze ja sprawdziłem i widząc, że się zgadzam, krzyknąłem do chłopaków.



Zostawiłem. Przekręciłem się nogami do okna i znowu zasnąłem, żeby przebrać się dopiero (może: już?) na przedmieściach Gdańska. W pysku jak w trampku, język jak prześcierało. Ołowiany, łupiący ból w skroniach. Zapytałem:

— Gdzie mamy rezerwę?  
— W MONOPOLU — odpowiedział Gruby.

— Daleko?  
— Naprzeciw dworca.  
— Zobaczysz, nie będzie wolnych miejsc.  
— Kraczesz.

Zatrzymując się co parę kroków szliśmy podziemnym tunelem na drugą stronę ulicy. Oburącz dźwigałem wzmacniacz, pod pachami trąbkę i werbel, w zębach, wstydy się! pękata torbę Silwany, która, obladowana jak oślica, także nie miała lekko. Kiedymy zwalili cały ten kram w recepcji, Grubas podszedł do szpakowatego jegomościa za ladą, przedstawił się i wyłuszczył sprawę. Jegomość przekartkował rejestr zgłoszeń i skinął głową, kładąc na kontuarze pięć bloczków meldunkowych. Wypełniłmy je na stojaka i podaliśmy w paszportami. Grubas rozpiął marynarkę, brzuch ogromny wylał mi się spod paska, przepocona koszuła na metr parowała gorączką. Był szczęśliwy. Wszyscy chyba byliśmy szczęśliwi, odbierając klucze i zostawiając graty w przechodni. Stefan dostał pokój z Silwaną, ja z Igorem. Gruby miał jedynekę: 313 i nie omieszkał zażartować:

— Niektóre hotele rezygnują z trzy-nastek. Pech!

Szpakowaty jegomość skwitował to grzecznym uśmiechem i wraz z kluczem wręczył Grubemu kartkę.

— Co to jest? — zdziwił się wesoło Gruby.  
— Telefonogram.  
— Do mnie?  
— Tak.  
— Skąd?  
— Proszę łaskawie sprawdzić. Gruby zerknął na druk. Bąknął:  
— Z Łodzi. Od żony.

I pomyślał pewnie: — Byle tylko nie śmierć, byle nie choroba. A my wszyscy, zatrzymując się w drodze do windy: — Może śmierć, może choroba...

Rozwinął papier.  
Ludzie biedną w takich wypadkach. — Grubemu krew uderzyła do głowy: najpierw purpura, później fioleł. Podał tekst Igorowi. Igor przeczytał z lodowatym półuśmiechem. Stefan, zaglądając mu przez ramię, zaczął rozgniatać na policzkach ogromne, zmieszane z potem łzy. Silwana otworzyła szaszetkę i udarła pliat liny: — No, uspokój się Stefuś! — powiedziała, przywierając do niego bruchem. — No... Stefuś, Stefuś!

— Pokaż! — zwróciłem się do Igora. Wyjąłem mu z zeszytowanej ręki papier. Przysiadając na brzegu kanapy, czytałem:

ANDRZEJ — depesza ze Sztokholmu — doktor Martin przetłumaczył — wyjazd nieaktualny — musicie wracać — bądź dzielny — całuję — MARYLA.

— Boże! — myślałem — Przecież ojciec jest na urlopie... Przecież otworzy mu smarkuła...

Ległem na zroszonej ławie i walczyłem z najgorszymi przecuciami, i nagle, zamiast pińnować gratów, stoczyłem się w ciemność. Moment. Ktoś zaczął nawoływać mnie z dna otchłani. Ktoś chyba przyłożył mi w pysk. Wierznąłem. Poczulem ból w kostce. Otworzyłem oczy i przeraziłem się: Andrzej... Dlaczego wrócił?... I wtedy zobaczyłem śpiącego do drogi pociąg, chłopaków ładujących w poplochu nie dopilnowany sprzęt, zawiadowcę, który popędzał ich czerwona chorągiewką i konduktora wrzeszczącego:

— Trzeba było na багаż! Na багаż! W przedziale Silwana dała mi kanapkę z serem i miarką herbaty z termosu. Pocałowałem ją w usta. Rozpiąłem koszulę, sięgnąłem buty i zwaliłem się na siedzenie. Za Toruniem obudziło mnie słońce. — Pić — Stefan odbił ćwiartkę: — Zostaw truchę!



ANDRZEJ MAKOWIECKI

# CHAŁTURA

(FRAGMENT)

przydadzą. Dorzucę wam pięćset złotych.

— To znaczy... Ile dostaniemy?  
— Trzy.  
— Nie, panie dyrektorze! Trzy i pół.  
— Zgoda. Ale z dixielandem.  
— Z jakim znowu dixielandem? — zbaraniał Grubas.

— No... tak było przecież umówione. Big-beat z piosenkarką, dixieland z puzonem. Ja tam najbardziej lubię dixieland; starej daty jestem człowiek, he, he!

— Niech będzie — westchnął ciężko Grubas. — Ale wyplata bez podatku i od razu po granicy.  
— Zrozumiałe! — zahuczała władczo słuchawka. — Z tym, że przyjeździecie w osemkę.

— W osemkę?  
— Ehe. I nie później niż o dziesiątej.

— O dziesiątej! — powtórzył zgnębiony Grubas i odłożył mikrofon. — W osemkę?!

I zaczęło się piekło. Ja pobiegłem po taksówkę, Igor z Grubasem zostali ku przerażeniu urzędniczki na pocztę, żeby dzwonić do znajomych puzonistów. Kiedy o wpół do dziesiątej podkolewaliśmy spółdzielczą warszawą w okolicę świetlicy, zobaczyłem tłum chłopów i rumowisko gratów.

Mówię do kierowcy:  
— Wiem, że się pan nie zgodzi.  
— Na co?  
— Żeby nas zabrać jednym ciągiem.  
— Do Ozorkowa?  
— Tak.  
— Kryminał.

— Masz pan dwie dychy. Powieź pan tylko chłopakom, że nie da rady i czort! wracaj pan na postój.

— Zaraz, zaraz — powiedział kierowca: twarz mordercy i zamglone oczy romantyka. — Bez nerw! Ja się nazywam Poldek Mizguła. Nie moja gablota, więc mnie dynda. Nie pękam w życiu. Mam uważanie dla muzyków... sam swego czasu posuwałem lektuko na harmoszcze.

— Spózniliście się nieco, moi drodzy.  
— Zgadza się, panie dyrektorze — przejąłem inicjatywę. — A teraz chodźmy sporządzić umowę.

— Jak to?... Umowę podpisałem przecież z panem Mazgajskim...  
— Znaczący się: mam wrócić i przeszkukać nieboszczykowi kieszenie?

— Tego nie powiedziałem.  
— Więc szkoda czasu, panie dyrektorze. Idziemy!

Zastaniał się facetami z Centrali, lecz nie dałem mu szans. Po chwili, w gabinecie, skrobał już pod moje dyktando: — Z uwagi na niemożność obywatela Sławomira Mazgajskiego ceduję wykonanie usługi muzycznej... i tak dalej. Pytał w międzyczasie:

— Dixieland jest?  
— Jest.  
— Z puzonem?  
— Z puzonem.  
— Ilu was przyjechało?  
— Dziewięciu.  
— Bardzo ładnie.

— Proszę dopisać jeszcze, panie dyrektorze: płatne od zaraz po wykonaniu usługi...  
— Zawahał się. I dopisał. Z chwilą, kiedy przybił pieczątkę i złożył pod tekstem zamasytany autograf, dała o sobie znać telepatia. Budynek dosłownie zatrzęsł się od jęku gitar i ryku aparatury wokalne.

— Chryste! — szepnął dyrektor. — Dixieland będzie?

— Och, mówiłem już panu. Będzie!

Wróciłem na scenę i zagraliśmy trzy nowoorleańskie kawałki. Potem samby, rumbi, foxtoty, walce i tanga, beat i underground, w którym brał udział nie tylko puzonista i dwóch tłukących w bongosy maolotów, lecz również podochocony, wymachujący marakasem kierowca.

Atmosfera ożywiła się nadzwyczaj. Cień śmierci odpłynął. Co pół godziny dyrektor wpadał na scenę i wrzeszczał:

— Brawo, chłopaki! Takiej orkiestry to tu jeszcze nie było, nie ma i nie potrzeba! — I walił Igora w plecy: — A teraz dixieland, dixieland!

# ZDARZENIA I ZWIERZENIA

## W WARSZAWIE

W Warszawie, wśród rusz-  
wań, zwalów materiałów budo-  
wanych.

Nie wiem kto kieruje tą gigan-  
tyczną budową, ale myślę, że  
jest to autentyczny geniusz or-  
ganizacji. Tu — na Dworcu Cen-  
tralnym można w Warszawie wyba-  
czyć wszystko — tu się widzi  
prawdziwe warszawskie tempo.

A potem poszedłem do Mu-  
zeum Wojska Polskiego, gdzie  
nie byłem z dziesięć lat. W mię-  
dzy czasie zdążyłem zobaczyć mo-  
skiewskie Muzeum Armii Ra-  
dzieckiej — piękne, nowoczesne,  
wymuskane jak bombonierka, z  
mozaikami na ścianach, pełne  
obrazów i dioram. Ciekaw byłam  
tej konfrontacji.

Nasze muzeum ze stałą eks-  
pozycją „Dzieje oręża polskiego”  
nie ma sobie równego w Euro-  
pie. Piętnasty, szesnasty, siedem-  
nasty wiek — dzieje rycerstwa  
polskiego eksponowane w sposób  
pozostawiający niezatarte wra-  
żenie. W mrocznych salach skom-  
ponowano całe grupy rycerzy o-  
świetlające je tylko reflektorami.  
I oto z mroku sal wyłaniają się  
lśniące broje, inkrustowane zio-  
tem i kamieniami szlachetnymi,  
blyszczą rządy końskie, nabijane  
krwawnikami, gdzieś u stropu  
wiszą szandary i proporce bo-  
jowe, błyszczą stal szabły i mie-  
czy. Dalej rządy mundurów —  
Królestwo Polskie, Księstwo  
Warszawskie, Legiony Dąbrow-  
skiego, Powstanie Styczniowe.

Autentyczne widowisko, praw-  
dziwy teatr historii.

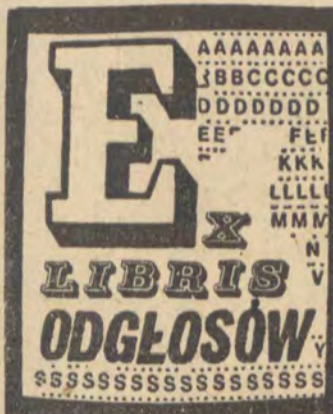
Muzeum Wojska Polskiego ma  
ponoć 100 tysięcy eksponatów.  
To bardzo wiele — nawet jeśli  
za eksponat uważa się zarówno  
guzik od munduru powstańca  
wielkopolskiego jak i samochód  
pancerny „Kubus” z Powstania  
Warszawskiego.

Alle ilość eksponatów nie jest  
decydująca — trzeba jeszcze z  
nich skomponować wystawę po-  
zostawiającą niezatarte wrażenie,  
zapadającą w serce i pamięć.  
Szkoda więc, że właśnie w wy-  
padku lat nam najbliższych ta  
zasada ekspozycji została zala-  
mana. Chocian pokazano za dużo,  
w pamięci zostaje chaos. Granat,  
ulotka, laska, karabin, hełm,  
mundur, fotografia, torba, ob-  
wieszczenie, pistolet, czapka...  
wszystko to razem staje się mag-  
mą, jeden eksponat zagłusza dru-  
gi.

To tyle refleksji z sierpniowej  
pustej Warszawy. Współczesność  
i przyszłość zakłeta w rosnącym  
Dworcem Centralnym i historii  
zakłeta w salach Muzeum Woj-  
ska Polskiego. To zresztą typowe  
dla Warszawy — współczesność  
i historia mieszkają tu zawsze  
na jednej ulicy.

WIDOK

### Przewodnik



Zainteresowanie w  
Polsce NRD stale  
wzrasta. Stąd po-  
trzeba nie tylko ja-  
kiegoś jednego, uni-  
wersalnego przewo-  
dnika, ale publikacji  
szczegółowych. Książ-  
ka M. i J. Miastow-  
skich mówi o Sa-  
ksonii, Herzu, Tu-  
ryngii, czyli o po-  
łudniowych regio-  
nach Niemieckiej  
Republiki Demokra-  
tycznej. Owa część  
południowa NRD,  
charakteryzująca się  
pięknymi krajobra-  
zami jest chętnie i

licznie odwiedzana przez polskich turystów. I ten fakt tu-  
maczy potrzebę wydania popularnej monografii.

Poludnie NRD ma 41, tysiąc kilometrów kwadratowych,  
stanowi więc około 40 proc. terytorium państwa. Natomiast  
we wszystkich dziedzinach gospodarki narodowej regiony  
południowe odgrywają rolę znacznie poważniejszą. Tu bo-  
wiem skupia się prawie cały przemysł wydobywczy, a łącz-  
ny udział południa w produkcji przemysłowej kraju sięga  
obecnie blisko 80 proc. całej produkcji NRD.

Jest to więc rejon ciekawy pod każdym względem. Ciek-  
awą jest także przewodnik napisany przez Miastowskich.  
Oprócz bogatej treści informacyjnej napisanej zwięźle i  
przejrzysto — zawiera dziesiątki fotografii oraz mapę po-  
łudnia NRD.

M. i J. Miastowski „Saksonia, Herz, Turynia”, Wiedza Po-  
wszechna, cena 57 zł.

### CO U PANA SLYCHAĆ?

Sprawy wojny zbyt głęboko i boleśnie zapadły w pamięć  
narodu, aby mogły nie rodzić kontrowersji nawet po trzy-  
dziestu latach. Już pierwsze reportaże Krzysztofa Kąkol-  
ewskiego o byłych hitlerowskich dyktarzach wywołały u wielu  
czytelników „Literatury” niechęć i protest. Zarzucano Kąko-  
lewskiemu, że zasłada do wspólnej rozmowy ze zbrodniarzami  
wojennymi, że podaje im rękę „jak gdyby nigdy nie”.  
Dziwne to pretensje, ponieważ Kąkolowski nie odbywał tych  
rozmów „jak gdyby nigdy nie”, ale właśnie w imię naszej  
pamięci o wojnie. Pytanie, które stało się tytułem książki:  
„Co u pana słyhać?” jest pytaniem z pozoru tylko konwen-  
cjonalnym i towarzyskim. W gruncie rzeczy jest to pytanie  
provokacyjne i po nim następują pytania agresywne. A prze-  
cież — jak pisał Kąkolowski — wybrał on nie Paragwaj czy  
Boliwie, nie tych, którzy uciekli i ukrywali się w dżunglach,  
nie tych, którzy jeszcze siedzą w więzieniach lub odbyli  
karę. Polski reporter wybrał tych, którzy się nie boją ni-  
czego, którzy na zawsze uniknęli kary. „Ich wolność, pewność  
siebie, dobrobyt i szczęście uznałem za wyzwanie” — pisze  
Kąkolowski. I to wyzwanie rzucił w twarz zbrodniarzom  
wojennym, żyjącym dziś spokojnie w niemieckich miastach  
za Łabą.

Krzysztof Kąkolowski „Co u pana słyhać?” Wyd. Czytelnik,  
cena 11 zł.

### DZIEJE DRAMATU

Ta dwutomowa edycja wydana w Polsce już po raz drugi  
jest fundamentalnym dziełem z dziedziny teatru. John A.  
Nicoll, długoletni profesor Uniwersytetu w Birmingham  
i dyrektor Instytutu Szekspirowskiego w Stratfordzie jest  
bowiem jednym z najwybitniejszych współczesnych history-  
ków teatru.

Przed kilkunastu laty PIW wydał jego „Dzieje teatru”,  
wznawiając to dzieło o takim samym tytule — mimo  
wysokiej ceny i mimo specjalistycznego charakteru publi-  
kacji, książki Nicolla zniknęły błyskawicznie z półek księ-  
garni. Podobnie było z „Dziejami dramatu”, które — wydane  
przed paroma miesiącami, są już dziś nieosiągalne. Ale też  
należałoby powiedzieć — 8 tysięcy egzemplarzy.  
A szkoda, bo jest to dzieło fundamentalne. Daje bogaty  
przebieg dramaturgii antycznej, średnio-wiecznej, renesansu,  
oświecenia, romantyzmu... Wiek dwudziesty reprezentowany  
jest szeroko przez dramaty europejski, w tym także przez  
dramaturgię polską. Poza tym Nicoll omawia dramaty Wschodu  
(sanskrucki, chiński i japoński) oraz wyczerpująco anali-  
zuje dramaturgię amerykańską. Osobny rozdział poświęca  
autor teatrowi podczas II wojny światowej i w okresie po-  
wojennym.

John A. Nicoll „Dzieje dramatu”, t. I i II, PIW, cena 203 zł

### WODZ GERONIMO

W młodości zaczytywałam się książkami o Indianach.  
Nazwa szczeru Apaczów powtarzała się w tej literaturze bar-  
dzo często. Cóż jednak mogli nam powiedzieć o prawdziwych  
losach i życiu Apaczów angielscy pisarze czy Niemiec, Karol  
May?

A czy dzieje życia wodza Apaczów, Geronima, wnoszą ja-  
kieś nowe prawdy? Na pewno tak, chociaż i te prawdy są za-  
pewne skazane przez zapis S. M. Barretta, komisarza szkol-  
nego z Oklahomy.

Geronimo opowiadał historię swojego życia w latach  
1895—1906 Apaczowi imieniem Asa Dakulie. Ten z kolei  
przetłumaczył opowieść Barretta, który ją spisał i wydał.  
Co zostało po tym łańcuchu przekazów z Geronima życia  
własnego — nie wiadomo.

Na tym się zresztą łańcuch przekazów nie kończy. Tekst  
Barretta opracował, oprócz wstępu i przypisami Frede-  
rick W. Turner. I dopiero w tym kształcie książka trafia  
do czytelnika polskiego w przekładzie Krzysztofa Zarzeckiego.  
A mimo wszystko w tej dramatycznej relacji starego In-  
dianina — wziętego przez biały wrogi był duży ła-  
dunek prawdy o wydarzeniach, które współcześni znają z  
romantycznej, awanturkowej i — przede wszystkim — zafal-  
sowanej legendy.

„Geronima żywot własny”, Wyd. Iskry, cena 16 zł.

### LISTY BRUNO SCHULZA

Jerzy Ficowski ma, obok spraw Cyganów, drugą pasję.  
Odkrywanie i ocalanie od zapomnienia niktých śladów po-  
zostałych po wybitnym pisarzu, Bruno Schulzu. Ficowski  
przed laty wydał głośne „Regiony wielkiej herezji” potem  
odnalazł wstrząsającą „Druką Jesień”, ostatnio wydał  
„Księża listów”.

Jest to nie tylko zbiór listów, lecz przede wszystkim  
autobiografia pisarza wyłaniająca się z owych listów. Ży-  
cie Schulza — urodził się w 1896 roku, urodził się w Dro-  
hobyczu, tam był nauczycielem rysunków i tam prawdo-  
podobnie zginał razem z drohobyckim gettem — składało  
się przede wszystkim z wydarzeń wewnętrznych, perypetii  
duchowych: składało się to życie z twórczości traktowanej  
jako sprawa jedynie istotna — wyłączny cel dążeń i sens  
egzystencji.

Nie wiele dziwnego, że listy zebrane przez Jerzego Ficow-  
skiego układają się w przedziwną — lecz jakże prawdziwą  
— duchową biografie Bruno Schulza. Piękna, seposna  
i wstrząsająca książka. Dodajmy jeszcze, że wydano ją —  
jak zwykle w Wydawnictwie Literackim — bardzo staran-  
nie, z oszczędnością, lecz piękną oprawą graficzną. Razem  
z „Drugą Jesienią” stanowi ona cenne źródło strzępów od-  
nalezionych do wojny. „Księga listów” zawiera bowiem  
wszystko, co udało się odnaleźć z niezwykle obfitej kores-  
pondencji pisarza.

Bruno Schulz „Księga listów”, Wyd. Literackie, cena 75 zł.

## LEWYM OKIEM

# SZEŚĆDZIESIĄT MILIONÓW

W małym i przereczym mi-  
asteczku w Alpach austriackich,  
w Zell am See, leży sobie na ry-  
neczku nieduży kawał pnia, a  
o sekacie powierzchni i o rów-  
nym jak szkło przekroju. Ten  
pniak jest rzeźbą z kamienia,  
odlewem ze szkliwa o brązowym  
odcieniu, jest absolutnym ka-  
mieniem, minerałem, szkłem.  
Tabliczka informuje, że to zwa-  
żający pniak, tyle że przeleżał  
gdzieś głęboko „około sześćdzie-  
siejściu milionów lat”.

Sześćdziesiąt milionów lat!  
Gdy próbuję to sobie wyobra-  
zić, otwiera się pod nogami  
przepaść taka sama, jak w mo-  
mencie, gdy mam stać na krawe-  
dziej Hafelekar koło Innsbrucka.  
Wyobraźnia staje się bezsilna i  
broniąc się zaczyna podszept-  
wać septyczne uwagi: kto tam  
te lata liczył? Przecież pnie w  
ziemi budują! Przecież tkanka  
organiczna, złożona z takich to  
a takich związków i struktur  
(o czym uczył nas pan profesor  
Samotyha, jeden z nielicznych  
wtedy w Warszawie brodaczy)  
nie może stać się jednolitym mi-

neralem o prostym wzorze che-  
micznym. Przecież co by to było,  
gdyby wszystko z czasem zamie-  
niało się w gład...  
Możemy sobie tak wydziwiać,  
ale prawda jest właśnie taka i  
są sposoby na polcenie czasu  
w odcinkach, za mocnych dla  
naszej zdolności rozumienia. Ale  
tak jest, trudno. Liczy się ato-  
my (przepraszam tutaj fachow-  
ców za ten skandaliczny laicy-  
zizm) i z prostego rachunku  
wynika, że procesy zmian w da-  
nym ciele musiały trwać tyle  
to i tyle lat, aby doprowadzić  
do dzisiejszego stanu.

Oto i przykładzik nienadaż-  
nia zwykłej, przeciętnej wy-  
obraźni ludzkiej za złożonością  
obiektywnie istniejącego świata.  
Po co się te bidaki artysty ob-  
żę autorem i siłą na abstrak-  
cję, na „swobodną grę” i na  
„nie kontrolowany strumień”?  
Po co im to całe „wychodzenie  
poza rzeczywistość” i szukanie  
motywów w dążeniu do „wzbo-  
gacenia świata”? On się  
już o nie wzbogacił nie da, on  
już jest wszystkim danym. Czy

nie godniejszym dziełem byłoby  
tak szkolić wyobraźnię ludzką,  
gdyby pojęła jak najwięcej z tego  
co jest, bez wyskoków w wydu-  
mane hipostazy, zawsze bied-  
niejsze, mniejsze, krótsze od —  
proszę bardzo — od „sześćdzie-  
siejściu milionów lat”...  
Ten pniaczek już wtedy był.  
Był i jest. Postarajcie się to so-  
bie uzmystwić: ten sam pniaczek.  
Przyczepiony w jakimś  
punkcie do naszej — tej samej  
— planety krążył wraz z nią d-  
koła tego samego Słońca. Astro-  
nomowie mówią, że nasze Słońce  
jest jedną z młodszych gwiazd.  
Astronomowie mają wyobraźnię  
silniejszą niż malarze abstrak-  
cjonści, dla nich to jakieś nie-  
dzidzielnie i nieoszałamiające —  
te lata świetlne, miliardy, kwint-  
tyliony. Oni nawet potrafiały to  
kwintyliony tak precyzyjnie  
przeliczać, tak nimi manipulo-  
wać jak kto inny manipuluje  
licząc swoimi pięcioma palcami;  
tak precyzyjnie, że w oparciu  
o te rachunki programuje się  
z dokładnością do zwirówanie  
małej części milimetra przyrzą-

## PROPOZYCJE

# KIOSK W SALONIE

Ktoregós dnia zatrzymałem się  
przypadkowo przed sklepem  
mięsnym i oczom moim ukazał  
się niewielki, estetycznie wyka-  
nany sztykiel z następującym  
napisem: „Łódzkie Przedsiębior-  
stwo Handlu Spożywczego OD-  
DZIAŁ OBROTU MIĘSEM Sklep  
nr...” Zainteresowany tym tajem-  
niczym napisem zwróciłem uwagę  
na inne i okazało się, że  
Łódzkie Przedsiębiorstwo Hand-  
lu Spożywczego posiada też OD-  
DZIAŁ OGÓLNO-SPOŻYWCZY.  
JAK TEŻ ODDZIAŁ WARZYWA  
OWOCY I KWIATY. Przyszła-  
m, że do tej pory nie wiedziałem  
iż kwiaty są artykułem spożyw-  
czym, jakkolwiek swego czasu  
jeden z moich przyjaciół w do-  
wód rozpacz i miłości zjadł sied-  
miem czerwonych róż które był  
przyniósł swojej wybrance. Ale  
ten fakt, powszechnie raczej  
nie znany, nie upoważnia jeszcze  
nikogo do traktowania kwiatów  
jako artykułów spożywczych.

Rozumiem oczywiście, że łą-  
czenie przedsiębiorstwa ma po-  
ważne uzasadnienia ekonomiczne,  
o ile prowadzi do usprawnienia  
organizacji pracy i zmniejszenia  
liczby pracowników admini-  
stracyjnych, przypadających na je-  
dną sprzedawczynię. Alścił nie  
jestem co do tego tak znów  
bardzo przekonany. Łódzkie  
Przedsiębiorstwo Handlu Odzieży  
ma obecnie zadanie nie tylko nas  
ubierać, ale też zaopatrywać w  
obuwie. Jednakże fakt potące-  
nia dwu różnych przedsiębiorstw  
w jedno nie wpłynął dodatnio na

stan zaopatrzenia sklepów z bu-  
tami.

W gazetkach wiele przedsię-  
wzięciom zawiadomiło swoich kli-  
entów o zmianach nazwy. Wiado-  
mo, że po 1 czerwca 1975 roku  
zmienia się struktura handlu, a  
wiele polikwidowane zostały nie-  
które wojewódzkie przedsiębior-  
stwa. Nie mam nie przeciwko  
temu, że Wojewódzkie Przed-  
siębiorstwo Handlu Odzieży zmi-  
eniło nazwę na Przedsiębiorstwo  
Handlu Odzieżą „OTEX” w  
Łodzi, ani też nie przeciwko  
temu, że Wojewódzkie Przed-  
siębiorstwo Handlu Meblami od 1  
lipca 1975 roku nazwa się  
Przedsiębiorstwem Handlu Me-  
blami w Łodzi. Kontrahen-  
tów przedsiębiorstw powinny wie-  
dzieć jak mają adresować listy  
i monity. Pragnąłbym jednak,  
aby wraz ze zmianą nazwy po-  
prawilo się zaopatrzenie sklepów  
poziom obsługi klienta oraz in-  
formacja o danej dziedzinie  
handlu. Niestety, jest to zycz-  
nie z kategorii niespełnionych.

Dla mnie jest w gruncie rzeczy  
obojętne, czy chleb i masło  
kupuję w MHD, PSS czy w kio-  
sku Spółdzielni Inwalidów. Waż-  
ne dla mnie jest, aby chleb był  
świeży, aby nie brakowało świe-  
żego masła i abym nie musiał  
stać zbyt długo w kolejce. Rozu-  
miem, że dla urzędnika ważne  
jest co innego. Dla niego ważne  
jest szydło, a dla mnie towary i  
artykuły na sklepowych półkach.  
On musi w sprawozdaniu wyka-  
zać, ile ma i jakich sklepów. Ja

natomiast muszę kupić coś do  
jedzenia, coś do mieszkania, ja-  
kieś buty, spodnie, kurtkę. Dla  
mnie byłoby bardziej istotne, do-  
wiedzieć się komu konkretnie  
zawdzięczam lepiej zaopatrzony  
sklep, a komu — gorzej. Byłbym  
też wdzięczny, gdyby pracownicy  
przedsiębiorstw handlowych kie-  
rowali się w swoim postępowan-  
niu punktem widzenia klienta i  
gdyby zrozumieli, że ten punkt  
widzenia różni się zasadniczo od  
ich punktu widzenia.

W „Głosie Robotniczym” spo-  
tykam na przykład takiej oto  
treść ogłoszenia:  
„Usługi motoryzacyjne dla lud-  
ności LPUMTPT „PUMOT” —  
WYMIANA SILNIKI — OFE-  
R U J E M Y SILNIKI po remonte  
górno- i dolnozwarowe do sa-  
mochodów marki „WARSZAWA”  
— SILNIKI Z GWARANCJĄ.  
Zelozensia przyjmują Stacje  
Obsługi Samochodów, ul. Alek-  
sandrańska 2/8, ul. Milionowa  
3/5.”

Dallibóg zupełnie nie wiem, co  
to jest LPUMTPT „PUMOT” i  
wiedzieć nie chcę. Dla mnie,  
gdybym chciał kupić silnik do  
„warszawy”, ważniejszy od tego  
skrótu byłby adres SOS, gdzie  
mogę go nabyć, ale muszę prze-  
brać przez całą warstwę zbed-  
nionych słów, aby dotrzeć do tej  
istotnej informacji. Dla urzędnika  
LPUMTPT „PUMOT” naj-  
ważniejszą sprawą jest umiesz-  
czenie w ogłoszeniu tego pieroń-  
skiego skrótu, gdyż inaczej  
główny księgowy nie rozliczy go  
z ogłoszenia.

Ten punkt widzenia urzędnika  
byłby może i wybaczalny,  
gdyby nie dezinformował i de-  
zorganizował rynku. Żargon ur-  
zędniczy przenika poza biura i  
czyny zamieszanie wśród bogu

ducha winnych klientów. Oto  
w „Życiu Fabianie” z 31 sierpnia  
1975 roku znalazłem informację  
H. S. pod znanym tytułem:  
MODERNIZACJA PUNKTOW  
SPRZEDAŻY DETALICZNEJ  
„RUCH”. Co to jest „punkt  
sprzedaży detalicznej”? — zapy-  
tałem sam siebie, ale odpowiedź  
znalazłem u H. S. „Nowe punkty  
sprzedaży, czyli nowe kioski”  
— pisze autor w notatce. Ale na  
tym nie koniec. Okazuje się, że  
kiosk może mieć jeszcze inną  
nazwę. „Nowe kioski czyli pawi-  
lony typu PS — 4” — powtarza  
bezmieślnie za urzędnikami H. S.  
I pisze dalej: „Stare pawilony,  
a więc kioski (...) przeniesione  
będą na periferie”. Ale na tym  
nie koniec. Fabianiec otrzymają  
jeszcze „salon wydawniczy z pe-  
nym zaopatrzeniem w pocztow-  
ki, mapy, foldery, przewodniki,  
płyty, reprodukcje itp. następnie  
sklep wyrobów tytoniowych i  
fajczarskich oraz kolekturę” a to  
wszystko okaże się po prostu...  
kioskami.

Rozumiem, że urzędnicy dla  
podkreślenia wagi swojej pracy  
która niewątpliwie jest potrzebna,  
co nie znaczy, że nie można tej  
usprawnić, musza wymyślać co-  
raz to nowe nazwy. Nie rozumi-  
am natomiast, dlaczego dzien-  
nikarzowi brakuje krzytyczemu i  
znajomości języka polskiego.

MARCIN RUDAK

DZIECKO  
Z DOMU STARCÓW

Zadziwienie poczęte wyborem wspólnego tytułu dla wspomnień K. W. Wójcickiego wzmógł zdobywca obwoluty pierwszego tomu stylizowany obrazek oddziału kawalerii. Obecnie tam wyłącznie końskie zady (ludzie wtopieni i rozmazani, jeno „pierogi” na głowach zwiastują Wielką Armię) są zalążkiem interpretacji historii; oto stosunek Napoleona do Polski i wszystko co z „tego” zostało — czy może prowokacja wydawcy.

Kontynuowana penetracja obala tę drugą możliwość. Czytelnika potraktowano godziwie. Zad, ale przed (bo przed to zad) pierwszego tomu informuje, że „Pamiętniki dziecka Warszawy” do krajan statecznych są adresowane: cena 150 zet. Pielęgnacją i „ulożeniem” podopiecznego trudziły się znane i wiele cenione firmy: PIW, J. W. Gomulicki, Zofia Lewinówna, Maria Grabowska oraz Teresa Kawińska („okładkę, obwolutę i strony tytułowe projektowała”).

Nauczony smutnym doświadczeniem — boć do dzisiaj nie wiem na przykład, za co który z patronów wznosiła „Pamiętniki” — Kozłiana był nieodpowiedzialny — nie podejmuje się rozstrzygnąć co jest czyste we wzniesieniu Wójcickiego. Niby udało mi się (przypadkiem) ustalić co znaczy w praktyce wydawniczej wydrukowane obok nazwiska Gomulickiego słowo „wybrał”, ale nie wybrałam sobie naszego Arcyznawcy drącego i klejącego stare książki. Natomiast w kapitalnym, stuślicowym zbiorze przypisów wydaje mi się, iż rozpoznaje cechy warsztatu Mistrza („opracowanie Zofia Lewinówna”).

Lecz z tym mniejsza. Istotniejsza jest konsekwencja i oczywistość intencji prezentowane w tych dwóch tomach. Końskie zady tłumacza się bowiem — i to już na skrzydełku obwoluty: „urodzony w kilka miesięcy po wejściu Wielkiej Armii”. Także tajemniczy wóz z budą i dzieckiem z obwoluty drugiego tomu nie ma sugerować nam ruchu kolonizacyjnego na Dzikim Zachodzie, lecz być sygnałem Wójcickiego „wędrowki w przeszłość” (skrzydełko obwoluty t. II).

Ponieważ z prac Wójcickiego udostępniono ledwie wspomnienia poświęcone Warszawie, opatrzone je znamienym tytułem, skoro „przyleżli się” do tej edycji znani warszawianści — słusznie więc (choć to „Biblioteka Pamiętników Polskich i Obcych”, a nie „Syrenki”) na pozostałych skrzydełkach obwoluty anonsuje się „rzeczy” o Warszawie. W pierwszym tomie cała „Biblioteka Wiedzy o Warszawie”, w drugim samego — „wara od para” — St. Lorenza.

Jestem natomiast pewien, że lepiej by się stało, gdyby korzystając z okazji niejednokrotnie chybła powtórzoną zrynowano z „klucza” wspomnień warszawskich. Powinny być przypomniane moim zdaniem naliczkawcze z drobnych wspominków rozproszonych w prasie — choćby kosztem dość blasków i często balamutnych rozważań o „Warszawie i jej społeczności w początkach naszego stulecia” oraz o „Społeczności Warszawa w początku naszego stulecia 1800—1890”. A jeżeli atrakcją wydawnictwa zola — nie tylko dla smakoszy i bibliofilów — byłoby wzmowanie „Cmentarza Powązkowskiego”, zbioru biografii ludzi z czasów autora tam spoczywających.

Urok bowiem literackich odtworzeń i przywołania przeszłości jest w zaniżkach Wójcickiego wynikiem rzadziej intuicji docierania do tej uniwersalnej niejako tradycji narodowej, niepodległej stanowym awersjom czy historycznym rewolucyjnym. Stąd brała się niesłychana, zadziwiająca już współczesnych antagonistów Wójcickiego, popularność jego prac, którym krytycy z lewa i prawa zarzucali, jak pisze M. Grabowska: „brak krytycyzmu, poczucia hierarchii wartości w dobrze ogłaszanych materiałach, brak talentu w robocie literackiej, powtarzanie się, niedomogi interpretacji”.

K. W. Wójcicki był przez bardzo trudne pół wieku, od czasów przed powstaniem listopadowym, aż po lata „pracy organicznej” napierw autorytetem, a potem zgola instytucją kultury narodowej, atakowanym za kolejną nieobecność w takim lub innym szeregu. Nie wydaje mi się sensownym „tutaczenie” Wójcickiego jego romantycznym „świadcstwem dojrzałości” — jak to czyni autorka wstępu. Swobodność jego osobowości, działała i wpływu nie brała się z faktu, iż był romantykiem. Zresztą twierdzenie takie zmusza Grabowską do swoistej ekwilibrystyki. W podjęciu przez Wójcickiego tematu zaproponowanego przez oświeceniowe Towarzystwo Przyjaciół Nauk dopatruje się ona romantycznych inspiracji; pisanie wspomnień było zaś według niej próba uoryzantowania pozytywistom. „że pierwsze lata romantyzmu, nie miały tak ostro antyracjonalistycznego charakteru”. Słowem, odcina się oświecenie od romantyzmu, by trochę dalej tymże oświeceniem bronić romantyzmu przed pozytywizmem.

Pisarstwo Wójcickiego było dziełem wyborowi powszechnie akceptowanych wątków tradycji narodowej swoistą „arką przysięgą”. Bodaż i nawet dzisiaj satysfakcja z lektury wspomnień Wójcickiego płynąć będzie nie tylko ze smakowania zapożnanej sztuki gawedy, lecz i z owego wyczuwalnego schlebienia rudymentom narodowego charakteru.

WIESŁAW PUSZ

Kazimierz Władysław Wójcicki: Pamiętniki dziecka Warszawy i inne wspomnienia warszawskie, t. I-II, PIW, Warszawa 1974, Biblioteka Pamiętników Polskich i Obcych.

DZIEŃ PIERWSZY

Godz. 5.30. Wyjazd „Zukiem” z siedziby organizatora. Mimo niezbyt wakacyjnej pogody wewnątrz samochodu upał nieznośny. Zresztą nie dziwnego. Oprócz mnie i przedstawiciela zakładu jedzie intendent i cała obsada kuchni. Razem z kierowcą 12 osób, plus zatrzaśnięte kolonijne sprzęty: sportowego, kuchennego. Sam siedzę na dużej patelni. Po przeszło siedmiu godzinach jazdy, około 13, jesteśmy nareszcie na miejscu. Obiekt kolonijny prezentuje się doskonale. Na razie zewnętrznie, gdyż do środka chwilowo dostać się nie możemy. Szkoła zamknięta na cztery spusty. Pan Marek (kierowca) rozgląda się bystro wokół i pędzi do pobliskiego Domu Nauczyciela. Po chwili wraca w towarzystwie dostojnie kroczącego jegomościa. Dyrektor — myślę — o'kay, możemy brać się do roboty.

— Pan dyrektor wyjechała — mówi przybysz. — Nie wiem kiedy wróci. Nie wiem też czy tak bez niej możemy tu zaczynać — dodaje powoli, z wahaniem. — Zawsze ona była szefem kolonii.

Mój personel patrzy na mówiącego ze zdziwieniem. Po chwili wszyscy spoglądają na mnie.

— Tym razem nie jest — mówię — musi się pan z tym pogodzić. Proszę otworzyć szkołę.

Wchodzę do środka. Bałagan, to słabe określenie. Zaśmiecone sale klasowe z częściowo rozłożonymi metalowymi łózkami straszą odrapaną emalią i zardzewiałymi sprężynami. Ściany ogołoczone z kwiatów. Zdjęto nawet godła. Okna bez zasłon... Wychodzę na korytarz — też dokumentnie ogołoczone. Przybrudzone ściany z jaśniejszymi plamami po dekoracjach, obrazach, kwiatnikach. W drzwiach do toalety wpadam na barykadę z kwiatów. Kilkadziesiąt doniczek zmagazynowanych tutaj w obawie przed zniszczeniem przez dzikie hordy kolonistów, którzy za trzy dni mają przybyć.

Zbliża się godzina 17. Prawie cztery godziny zajęło mi oglądanie obiektu. Jestem przybity. Siadam na schodach i układam plan działania. Zostało mi dwa i pół dnia. Niewiele. Co to by było — zastanawiam się w duchu — gdybym przed kilku laty, kiedy po raz pierwszy obejmowałem placówkę kolonijną, natrafił na taką jak ta?

Dość refleksji. Szkoda czasu. Pan Marek przyniósł mi dwie grube kromki chleba z masłem.

— Obiad, panie kierowniku — zameldował.

Domniemany dyrektor pełni z ramienia organizatora funkcję magazyniera sprzętu kolonijnego. Jest równocześnie zobowiązany do zagospodarowania placówki; ustawienia odpowiedniej ilości łóżek, szafek itp. Jak do tej pory niewiele zdziałał. Nie śpieszy mu się.

DZIEŃ DRUGI

Zaspałem. Wstałem po śniadaniu. Powiniem wstać o piątej. Wczoraj pracowaliśmy do północy. Panie z kuchni poszły spać jeszcze później. Wszyscy byli już na nogach. Pan Marek przyniósł kupione na wsi jajka i chleb. Śniadanie było już dawno gotowe. Potem czekaliśmy na przyjeździe magazyniera, aby wydał dalszy sprzęt. Wreszcie zjawił się. Jeszcze dostojniejszy niż wczoraj. W ciemnym garniturze i krawacie.

— Jadę do miasta — oznajmił. — Wróć przed południem, to wydam resztę. Na razie starczy wam chęba...

— Proszę nie kpić — nie wytrzymałem. — Jest pan pracownikiem kolonii od chwili jej rozpoczęcia, i pracuje od 7 do 15. Dzisiaj — spojrzę na zegarek — do 16.30.

Drugi dzień skończył się dla mnie również o północy. Jestem jednak zadowolony. Sale przygotowane; łóżka rozstawione i posłane, podłogi wypastowane. Brakuje tylko zasłon do okien i trochę kwiatów. Niestety, pani dyrektor w dalszym ciągu nieobecna. Utrudnia mi to bardzo przygotowanie ośrodka. Nikt nic nie wie i nie może.



DZIEŃ TRZECI

Pracuję od szóstej rano. Dzisiaj sprawy zaopatrzenia i administracji w powiecie. Intendent narzeka. Niestety, ma rację. Zaopatrzenie pod przysłowiowym psem. Brak wędlin, warzyw, owoców. Zamówienia złożone wcześniej przez organizatora nie w praktyce nie załatwiają. Trzeba czasami prosić, innym razem brać z tupetem, na krzyk. Oglądam kartę kwalifikacyjną obiektu. Jestem zaskoczony. Czemu tu nie ma! Dwie izolátky, gabinet lekarski, świetlica, jadalnia, kuchnia wspaniale wyposażona z obieralniami jarzyn i zmywalnią... A ja mam do dyspozycji sześć małych sal sypialnych i jadalnię będącą także świetlicą. Reszta pomieszczeń pozamykana, ani zajrzeć przez dziurkę od klucza. Kuchnia wyposażona bardzo miernie, bez oddzielnej zmywalni i obieralni jarzyn.

Zbliża się południe. Wymarzona pani dyrektor jeszcze nie przyjechała. Mało mnie szlag nie trafił. Jutro w południe przyjadą dzieci. Wsiadam w samochód i jadę do inspektoratu oświaty.

— Ciekawe — mówi zastępca inspektora — w Z. było zawsze dobrze. Powiedziałbym nawet, najlepiej...

— Może dlatego, iż dotychczas kierownikami kolonii była zawsze pani dyrektor szkoły?

— Koleżanka D. jest doświadczoneym pedagogiem, dobrym organizatorem. Wydaje mi się, kolego kierowniku, że trochę przesadzacie...

— A gdzie jest obecnie ten dobry, doświadczony pedagog?

— A... to już nasza sprawa!

— Proszę więc bardzo na małąkę wzięj lokalną — kończę zdecydowanie.

— No, tak... nie jest najlepiej — mówi pan inspektor. — Chyba jednak dogadacie się z dyrektorką — w jego głosie wyczuwam nutkę nadziei. Naj-



Znów intendent musiał dokonywać różnych sztuczek. Brał proszek, dostawał rachunek na kit do okien, albo mucholapki. Nic od lat tutaj się nie zmienia. Ciekawe, dlaczego kolonie w praktyce nadal są przez lokalne władze traktowane jako zło konieczne?

Długo oczekiwane autokary z dziećmi już są. Nawet bez szczególnego opóźnienia. Najważniejsze, że wszystkie przyjechały razem. Patrzę, jak dzieciaki z szumem wysypują się na murawę. Krzyki, bałagan. Wychowawcy nie reagują na pierwszą bójkę dwóch czternastoletków ani na rzucanie wokół papierowych torebek i serwetek... Moja bierna obserwacja trwa tylko chwilę. Donośnym lecz spokojnym głosem zarządzam zbórkę całości. Przy pomocy intendenta sprawnie dokonuję podziału na grupy. Te-

bie za parawanem. Spi! Idę do kierownicy pedagogicznej. Ta też jeszcze spi. Tutaj jednak nie bawię się w Wersal i zdecydowanie stawiam panią zastępcę na nogi.

— Panie kierowniku, rada skończyła się tak późno... Myślałam, że dzisiaj można trochę dłużej pospać...

— Dziewczyno, ustalono i zatwierdzono rozkład dnia, który musi być sumiennie przestrzegany. Przede wszystkim przez nas, kadre! To nie wczasy u babci na wsi! Proszę to zapamiętać!

Pierwsza gimnastyka poranna przebiega niemrawo, dzieci w strojach różnych, w kąpielówkach, piżamach, swetrach.

Apel trwał dwukrotnie dłużej niż przewidywałem. Śniadanie zupełnie wystygło. Trudno. Musiałem dokonać nie tylko ogólnej prezentacji, lecz dokładnie zapoznać młodzież z regulaminem kolonii, rozkładem dnia, najważniejszymi sprawami BHP. Później dopilnowałem, aby wychowawcy systematycznie kontynuowali wszystkie te niezbędne obowiązki.

Na ciszy poobiedniej zrobiłem krótką odprawę z kadra wychowawczą i lekarską. Podzieliłem się swymi spostrzeżeniami. Ustaliłem dyżury na cały turnus, odpowiedzialnych za gimnastykę itp. Zaznaczyłem, iż ja dyżuruję całą dobę i we wszystkich wątpliwych, niejasnych sprawach nie tylko mogą, ale muszą konsultować się ze mną. Próbuję „lansować” swoją zastępczynię. Dodać jej pewności siebie, uocnić autorytet, kompetencje... Jestem już po spotkaniu z kacykielem szkoły, gminy, całej okolicy...

— Pan chciał się ze mną widzieć — zapytał niewinnie od progu pięćdziesięcioletni podłotek. I zaraz władczko:

— Co znaczą te komentarze, wizyty w Inspektoracie, jak pan śmie, pan sobie nie zdaje sprawy z konsekwencji swego postępowania! Ja jestem szanowaną działaczką. Jestem we władzach! Mogę udostępnić dodatki we pomieszczenie, ale nie muszę! Nie jestem zwyczajnym (?) dyrektorem szkoły! Proszę o tym pamiętać! Tutaj ja decyduję!

Pierwsze spotkanie skończyło się po kilku minutach. Po prostu musiałem wyprosić panią dyrektor i poradzić zająć rehelium. Zdaje mi się, że nawet posuchała, ponieważ jej druga wizyta miała zupełnie pokojowy charakter. W konsekwencji długiej debaty otrzymałem zasłony, dwa dodatkowe pomieszczenia i brakujące taborety.

DZIEŃ SZÓSTY

Niedziela. Koloniści lubią ten dzień, nie ma gimnastyki porannej, pobudka później, może przyjeździe w odwiedzinę mama? Dla kadry, dzień właściwie jak każdy inny. Chyba, że jest to niedziela masowych wizyt rodziców. Wtedy nie ma chwili spokoju. Jeszcze długo po odjeździe ostatniego rodzica wychowawcy, czasami lekarz, mają sporo kłopotów. Ja chcę do mamy — woła jedno, brzuszek mnie boli — skarży się inny maluch.

Moja pierwsza niedziela minęła spokojnie. Zbyt wcześnie na masowe odwiedziny rodziców, krewnych. Toż to dopiero trzeci dzień. (Odległość też niebagatelna). A ja jestem już tak zmęczony, jak nigdy! Bo też nigdy dotychczas nie zaczynałem kolonijnego życia w takich warunkach...

Wiem, że wszystko będzie dobrze, że moja placówka zacznie funkcjonować prawidłowo, że będę mógł szczerzyć się swymi osiągnięciami... Niestety, wiem także, że nie znam chwili wolnej, chwili odpoczynku. Sześćdziesiąt trzy dni wyłężonej pracy... A przecież personel to nie tylko ja, to jeszcze dwadzieścia innych osób. Wychowawcy powoli oswajają się z nowymi dla nich warunkami, sytuacjami. Może się jednak sprawdzić... Byłoby mi tylko, dobre chęci. Chwilami żał mi tych ludzi, których w porę nikt nie poinformował o zadaniach, o wielkiej odpowiedzialności, o trudach tej pracy... A przecież wszyscy mieli teoretyczne przygotowanie do pełnienia funkcji wychowawczych. Legitymowali się zaświadczeniami o ukończeniu specjalnego kursu.

EDWARD BRYL

BYŁEM KIEROWNIKIEM  
KOLONII...

wyraźniej chce wszystko załatwić polubownie. Już wiem, że pani dyrektor jest osobą wpływową. Lepiej więc ostrożnie — mówi wzrok inspektora.

DZIEŃ CZWARTY

Obiad dla kolonistów gotowy. Wszyscy się niecierpliwą. Autokary powinny przybyć lada chwila. Placówka w miarę możliwości przygotowana... Czy jednak? Nie mam ani jednej izolátky, gabinet lekarski zamknięty, kierowca spi w sali gimnastycznej... Wiem, że są jeszcze wolne pomieszczenia zawsze wykorzystywane przez kolonie. Myślę, iż taborety i firanki też się znajdują.

Jadalnia wygląda nawet przyzwolnie. Obrzydliwe, potężne stoły z pracowni zajęć technicznych, od których podkręcano imadła, nakryto czystą, nową ceratą.

Nie mogąc jednak doprosić się tej ubiegłorocznej, kupiłem nową. Zanim jednak owa cerata znalazła się na stole, intendent musiał dokonać mnóstwa skomplikowanych operacji, aby dostać rachunek... Trzeba było pisać podanie z obszernym wyjaśnieniem, w jakim celu, dla kogo, etc. Użyć podpisy kilku ważnych lokalnych osobistości. Udało się jednak! Niestety nie jest to przykład odosobniony. Wiedzą najlepiej o tym wszyscy kierownicy kolonii. Żeby było weselej i śmieszniej, nie można było kupić na rachunek np. proszku „Ixi” lub „E”.

go nie przewidziałem! Dostarczono mi 9 kolonistów ponadplanowo! Przewidziałem, iż mogę spotkać się z taką niespodzianką ze strony organizatora i przygotowałem trzy łóżka więcej. Ale aż dziewięć...

Czas mija w zawrotnym tempie. Zbliża się pora kolacji. Dyskretnie, nie wtórując się, obserwuję wychowawców. Niemożliwe! Ich obojętność — już nie tylko na drobne przekroczenia kolonistów, ale na łamanie podstawowych zasad bezpieczeństwa, czy etyki — jest zastraszająca; dwóch siedzących naprzeciw siebie chłopców najawajem się opluwa. Przy kolacji! Wychowawca, siedzący przy końcu długiego stołu, zajęty jedzeniem i czytaniem gazety, nic nie widzi...

Już po pierwszej radzie pedagogicznej. Nasiadówka trwała bite trzy godziny. Tyle bowiem czasu pochłonęło dokładne omówienie niezbędnych spraw i problemów oraz... dyskusja. Nie chcę zapisać lub przesadzić, ale kadra wychowawcza „udała” mi się wyjątkowo. Sześćoro wychowawców, w tym pięcioro studentów. Wszyscy w rolach wychowawców po raz pierwszy. Czwooro — jak mi sami oświadczyli — z tzw. dobrych domów. Dla czego śpiły razem z grupami? Nie parawany, lecz pokoje powinniśmy mieć! Chyba to niemożliwe, abyśmy opiekowali się grupami przez całą dobę? Jeszcze mamy przy stołach wspólnie z dziećmi? To już przesada. Jak one się zachowują, krzyczą, mlaskają... Apetyt odbiera! Co za dzikie pomysły! Dlaczego nie ma łazienek? Tylko miska i ciepła woda z kuchni! Tak! Prymityw dobry był 30 lat temu!

To tylko część z bogatej kolekcji pytań, dotyczących ostatniego punktu rady — wolne wnioski i sprawy różne. Pytań co do spraw wychowawczych raczej nie było. Wszystko jasne! Ano, zobaczymy. Zastępczyni — też po raz pierwszy w tej roli — bez krzty energii i inicjatywy. Pocieszam się jednak, że minie jej to szybko, że to tylko moje pierwsze mylne wrażenie...

DZIEŃ PIĄTY

Wstałem o 6.30. Wychodzę na korytarz. Gwar, krzyki dochodzą ze wszystkich sal. Zirytowany otwieram drzwi do pierwszego z brzegu. Dzieciaki biegają po łózkach, pierze z poduszek fruwa w powietrzu. Na mój widok zamierają w bezruchu. Pytam o panią wychowawczynię. Jest u sie-

Zdjęcia wykonał  
WŁODZIMIERZ PARYS



## U PRZYJACIÓŁ

Od piętnastu miesięcy trwa budowa bajkalsko-amurskiej magistrali kolejowej o długości 3200 km. W odpowiedzi na apel partii przybyło tu wówczas kilka tysięcy młodych ludzi, którzy wraz z miejscowymi mieszkańcami rozpoczęło karczowanie tajgi, budowę dróg i osiedli, układanie torów kolejowych. Wysiłek budowniczych wspiera cały kraj, a słowo — symbol BAM stało się synonimem rozmachu, tempa, wysokiej jakości i efektywności działania.

Przewyciężono już pierwsze trudności zagospodarowania nowych miejsc. Na trasie wyrosły osiedla budowniczych, organizuje się handel, żywienie zbiorowe, usługi lekarskie, powstały pierwsze szkoły, przedszkola i żłobki, organizuje się łączność.

Postawa budowniczych i stworzone warunki gwarantują sukcesy tego wielkiego przedsięwzięcia. Przemawiając niedawno L. Breżniew powiedział o budowie nowej magistrali: „Otwierając dostęp do niezmiernych bogactw tego kraju, jego ogromnych zasobów naturalnych przystępujemy do zagospodarowania całej strefy. W miarę upływu lat na północno-wschodniej Syberii i w północnych rejonach Dalekiego Wschodu powstawać będą nowe wielkie ośrodki kulturalne i przemysłowe”.

\*\*\*

W Moskwie znajduje się pod ochroną 1670 zabytków architektury. Ochrona i konserwacja zabytków została objęta ogólnym planem rozwoju stolicy Kraju Rad. Zakłada się, że nowe budownictwo będzie wprowadzone do centrum Moskwy tylko wówczas, gdy nie będzie naruszać kompozycji starej zabudowy. Specjalną pieczę roztoczono nad historycznym centrum miasta. Nie będzie się tu wprowadzać żadnych zmian w krajobrazie otaczającym Kreml, którego mury zostały odrestaurowane w ubiegłym roku. Od dawna prowadzi się również prace konserwatorskie zabudowy ulic prowadzących do Placu Czerwonego. W bieżącym roku odnowiona zostanie powierzchnia fasad o kilku milionach metrów kwadratowych.

\*\*\*

Wiele jest miejsc związanych z życiem Puszkina, które co roku odwiedzają tysiące miłośników twórczości wielkiego poety. Muzea puszkiniowskie istnieją m.in. w Leńningrze, Odessie, Kiszyniowie, we wsi Boldino w obwodzie gorzkowskim itd.

Ostatnio utworzono kilka nowych muzeów Puszkiniowskich m.in. we wsi Torzek koło Kalinina i we wsi Bernowo w tym samym rejonie. W bliskiej przyszłości zostanie zorganizowane również Muzeum Puszkina w Moskwie, w dzielnicy Arbat, w domu, w którym poeta mieszkał w latach 1830—1832. (Nb. jest to jedyny, jaki ocalał w Moskwie, budynek, w którym mieszkał poeta).

\*\*\*

Jeszcze do niedawna sytuacja demograficzna Węgier była bardzo niepomyślna. Przyrost naturalny należał do najmniejszych w Europie i wykazywał tendencję malejącą. Podjęto więc energiczne działania na rzecz ukształtowania właściwej polityki demograficznej kraju. Wydano również szereg zasad prawnych, które zagwarantowały polepszenie opieki nad matką i dzieckiem, poprawę sytuacji młodych małżeństw, preferencje dla rodzin wielodzietnych.

Rezultaty tych wielostronnych działań są już dziś widoczne. Zwiększył się i rośnie nadal przyrost naturalny. Zmienia się mentalność młodych małżeństw, które już dziś w wielu wypadkach planują dwoje, a nawet więcej dzieci.

Ostatnio przeprowadzono interesującą ankietę, wśród młodych małżeństw. Respondenci odpowiedzieli w pełni pozytywnie na pytania: jak młodzi oceniają politykę demograficzną kraju, podkreślając szczególnie wagę materialnej pomocy państwa.

\*\*\*

W Budapeszcie zmarł Istvan Simon, jeden z najwybitniejszych poetów węgierskich, zastępca sekretarza generalnego Węgierskiego Związku Literatów, laureat nagród im. J. Attili i L. Kossutha. I. Simon pochodził z ubogiej rodziny chłopkiej, ukończył filologię węgierską i niemiecką, był redaktorem pism literackich, publicystą, tłumaczem i propagatorem poezji węgierskiej za granicą. Wiele jego utworów przetłumaczono m.in. na rosyjski, francuski, rumuński, bułgarski.

(AK)

Od trzeciego lipca francuską opinię publiczną trzyma w napięciu sprawa zabójstwa lyońskiego sędziego Francois Renaut. Gazety i tygodniki raz po raz zamieszczają obszernie artykuły poświęcone w znacznej części sugestiom na temat sprawców tej zbrodni. Zabójstwo sędziego Renaut jest wyjątkowym wydarzeniem we Francji, w odróżnieniu od USA, Włoch czy RFN, gdzie świat przestępczy częstokroć w ten sposób zatwaja swoje porachunki z przedstawicielami prawa.

Wielu komentatorów wyraża przypuszczenie, iż organizatorów zamachu na życie sędziego w Lyonie należy szukać nie w środowiskach gangsterów i zawodowych morderców, lecz tam, gdzie obawiano się ujawnienia kontaktów wielkiego biznesu, działaczy partii burżuazyjnych i policji z rozrastającą się gangsterską mafią. Także policja jest przekonana, iż nazwisk zabójców sędziego należy szukać w aktach spraw, które ostatnio prowadził. A prowadził ich mnóstwo. Bez wahania brał najtrudniejsze sprawy kryminalne i nigdy nie ukrywał zadowolenia, kiedy udało mu się unieszkodliwić „rekina”, małego czy dużego, pływającego w mętnych wodach podziemia. Bez względu na sędzię szokowała niektórych jego kolegów, wywodzących się z rodzin starej lyońskiej burżuazji, i przerażała przestępców.

Autorzy niektórych artykułów przypuszczają, iż „zginął bowiem w swej żarliwości przekroczył granicę bezpieczeństwa i zamierzał podać do publicznej wiadomości fakty, które należało trzymać w tajemnicy”. Inni mówią, że zamordowano go albo z zemsty za to, co już ujawnił, albo „na wszelki wypadek”, żeby przeszkodzić mu w wykonaniu jakiegoś zamierzenia, niebezpiecznego dla przestępców czy określonej grupy ludzi związanych z podziemiem.

Jeden ze znanych lyońskich adwokatów skłania się do wersji, że była to zemsta. W tym przypuszczeniu utwierdza go fakt, iż sędzia Renaut zaczął otrzymywać listy z pogrózkami od momentu, gdy wziął na warsztat sprawę głośnej we Francji bandy Vidala. Inny adwokat dodaje, że trzy tygodnie przed śmiercią sędziego Renaut powiedział w gronie przyjaciół, iż mimo wielkiego ryzyka i ogromnych komplikacji, które może wywołać jego działanie, jest już blisko ujawnienia ważnego elementu w sprawie „Marain-Lafleche'a”.

Sprawa Vidala i sprawa „Marain-Lafleche'a” były to dwie ostatnie, wielkie sprawy sędziego Francois Renaut. René Baemain, dziennikarz z „Nouvel Observateur”, jest przekonany, że w licznych teczkach tych spraw należy szukać nazwisk zabójców sędziego lub ich mocodawców, i dlatego sędzia Henri Augé, któremu poruczone śledztwo w tej sprawie, powinien te akta studiować z niezwykłą uwagą.

## ZAMASKOWANI MORDERCY

„O godzinie drugiej trzydziestego dnia 3 lipca, 53 letni sędzia Francois Renaut i jego przyjaciółka, trzydziestoletnia Geneviève, pożegnali się z małżonkami Dubois, u których spędzili cały wieczór. Na tarasie wili usytuowanej nad malowniczym brzegiem leniwej Saony czas przele-

sowy i ogólnie szanowany sędzia, nazywany przez kolegów „szeryfem” zawsze brał najcięższe sprawy kryminalne, wymagające uporu i wielkiej odwagi.

## SPRAWA AUGÉ

14 czerwca 1973 r., kiedy wszechmocny boss lyońskiego podziemia —

związków świata gangsterskiego ze służbami „policji pośredniej”, a zatem i oficjalnej, zaczął przybierać w Lyonie wyjątkowo skandaliczny charakter. Wszystko to wyszło na jaw w 1972 roku po gwałtownej kampanii prasowej. Z hukiem zwolniono z pracy w policji komisarza Tonneau, powiązanego z bandami gangsterskimi Lyonu. Jeana Augé mogli więc sprzątnąć ludzie, którzy uważali, iż wie on zbyt wiele o tajemnych związkach świata przestępczego z „policją pośrednią”.

## PYTANIA BEZ ODPOWIEDZI

A Francois Renaut? W Lyonie chodzą słuchy, że gangsterska banda Vidala, którego sędzia Renaut posadził za kratkami, zagarnęła już grupę Augé. Mówi się także i o tym, że sędziemu Renautu bardzo interesowały ostatnimi czasy związki między gangsterskimi bandami Vidala i Augé i że był już bliski wykrycia pewnych szczegółów wzbogacających akta tej sprawy.

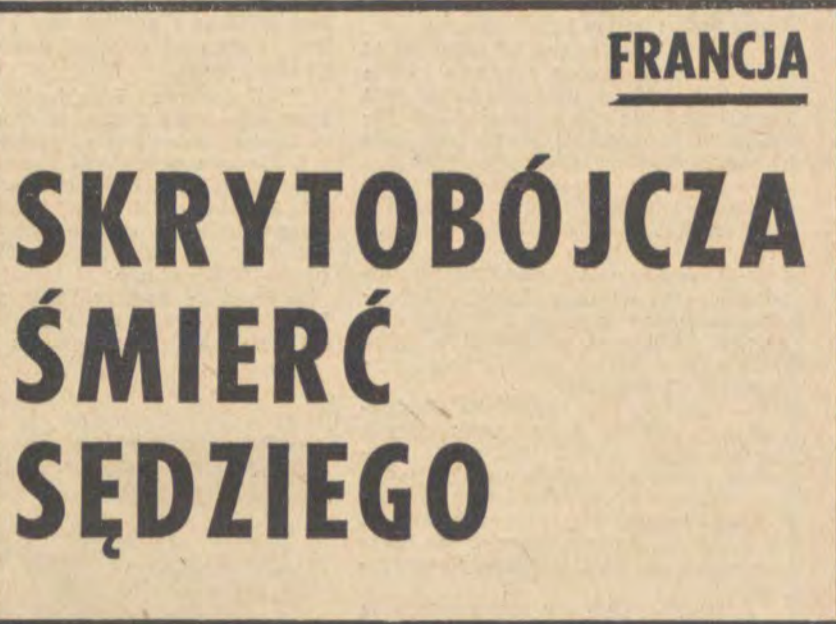
A jakie to są szczegóły? Wydaje się, iż Francois Renaut był przekonany, że banda Vidala była we Francji jedyną grupą przestępczą zdolną do dokonania tak ryzykownej operacji, jaką było ograbienie poczty w Strassburgu 30 czerwca 1971 r. Wówczas to sześciu bandytów przebranych w uniformy pocztowców zgrabowało ponad miliard starych franków.

I żaden z policjantów, adwokatów i sędziów nie zapomniał tajemniczego krótkiego zdania, które 7 maja 1974 r. wypowiedział przez telewizję Francois Colcombé, ówczesny przewodniczący zw. prac. sądowych, a przedtem zastępca prokuratora Lyonu: „Mamy nadzieję, że nie będziemy musieli skonstatować, iż grabież w Strassburgu powiększyła wpływ tajemnej kasy partii politycznej”.

Być może sędzia Renaut zebrał już fakty niezbędne dla ujawnienia prawdziwych organizatorów tej grabieży? Być może mógł już podać nazwiska tych ludzi i nazwy organizacji politycznych? Być może dal do zrozumienia, że jest zdecydowany ujawnić fakty, które wywołały wielki skandal? Jeśli tak, to mogły to być owe tajemnice, których ujawnieniu postanowiono przeszkodzić...

Pozostaje jeszcze sprawa Marain-Lafleche'a. 4 lipca 1974 r. powiadomiono policję o tajemniczym zniknięciu 42-letniego Yvesa Marain-Lafleche'a, znanego lyońskiego biznesmana. Cztery miesiące później w lecie pod Lyonem znaleziono przypadkiem ludzką czaszkę, a nieco później również inne części ludzkiego ciała. Ekspertyza wykazała, że są to szczątki Lafleche'a. W ten sposób stwierdzono, że nie uciekł on — jak przypuszczano ogólnie — przed skandalem finansowym, lecz został zamordowany. Sprawa Lafleche'a jest niezmiernie delikatna, ponieważ były z nim blisko powiązane „osoby o nieskazitelnym moralności”, jak pisał o tym pewien miejscowy komentator. A to oznacza, że ujawnienia faktów tej zbrodni obawiają się pewne środowiska. Jakże? Być może sędzia Renaut znalazł odpowiedź i na to pytanie...

JERZY CZECH



ciał szybko i niepostrzeżenie. Pogoda była piękna, mówiono po trochu o wszystkim, a głównie o urlopie, który Francois Renaut i Geneviève zamierzali spędzić w północnej Afryce.

Własnym samochodem szybko przejechał most na Saonie i w kilka minut później był na miejscu. Sędzia zaparkował wóz kilkadziesiąt metrów przed domem i dalej poszli już spacerem. Kilka metrów przed bramą domu nieoczekiwanie przystanął przy nich niebieski samochód. Wydawało się przez moment, że jego pasażerowie chcą ich o coś spytać, ale w następnej chwili siedzący obok kierowcy mężczyzna w czarnej masce na twarzy błyskawicznie dobył pistolet automatyczny. Sędzia zorientował się natychmiast. Zdażył jeszcze krzyknąć do Geneviève: „Uciekaj!”, a sam, pragnąc uchronić ją od kul, rzucił się w kierunku niewysokiego parkanu otaczającego pobliski skwer.

Mężczyzna w masce wyskoczył z samochodu, a kierowca szybko wrzucił wsteczny bieg. Widząc, że nie uciekną przedadwocem, sędzia ukrył się za „volkswagenem” stojącym przy trójkątzie. W tym momencie wyskoczył z samochodu drugi zamaskowany mężczyzna dobiegł do „volkswagena” i oddał do sędziego osiem lub dziesięć strzałów z pistoletu... Tyle protokół policyjny.

Tymczasem zabójcy umknęli cichymi ulicami dzielnicy. Kilka ulic dalej wyrzucili z samochodu resztkę nieużytych naboży kalibru 9 mm, produkcyjnej niemieckiej. Znalaziono osiem naboży. Ukradziono przednio samochod, porzucili zabójcy na jednej z ulic miasta. Wszystko to odbyło się w kwadracie o powierzchni dwóch kilometrów kwadratowych.

Więść o śmierci Francois Renaut wywołała burliwą reakcję w Pałacu Sprawiedliwości. Ten bezkompromi-

Jean Augé — wysiadł ze swego luksusowego samochodu przed miejscowym Klubem Sportowym, z innego samochodu wysiadł szybko wysoki mężczyzna w masce na twarzy i dwoma coltami, kaliber 11,43, w obu rękach. Pchnął Augé do muru i oddał do niego kilkanaście strzałów. Następnie dobił go jeszcze dwoma strzałami. Wszystko to odbyło się w biały dzień...

Za co zamordowano Augé? „Wydal Amerykanom dwie podziemne sieci handlarzy narkotykami” — twierdzi jeden z jego byłych współpracowników, ukrywający się obecnie przed policją. Natomiast pewien lyoński adwokat, dobrze zorientowany w sprawach podziemia, nie wierzy w tę wersję. Uważa, że zabił go współpracownicy, których naklonił do jakiejś operacji, np. do grabieży z bronią w rękę i którzy byli niezadowoleni z podziału łupów. Wydaje się jednak, że chodzi tu o coś zupełnie innego. Augé, będąc bossem bandy, pozostawał jednocześnie na usługach tzw. „pośredniej policji” (działa ona obok oficjalnej policji i często korzysta z usług byłych kryminalistów — red.). W celu zamaskowania tej współpracy Augé rozwijał nader aktywną działalność handlową: założył firmę produkującą anyzówkę, miał udziały w wielu kabaretach Lyonu, Grenoble i Genewy oraz zaczął wykupywać od Korykańczyków nocne kluby i spelunki Lyonu. W ciągu kilku lat zbil ogromny majątek, kupił luksusowy dom w najbardziej ekskluzywnej dzielnicy Lyonu, kilka rezydencji w Alpach...

Augé zapewniał ochronę na walnych zebraniach prawicowych partii w Lyonie i Grenoble wykorzystując do tych celów swoich „kolegów” których personalia już od dawna były znane policji francuskiej. Ów spłot

## OWOCNA WIZYTA CZY POSTĘP NA BLISKIM WSCHODZIE? TRUDNE DNI PORTUGALII AMERYKAŃSKIE VETO

Wizyta premiera rządu Związku Radzieckiego — Aleksieja Kosygina w Polsce poświęcona była przede wszystkim omówieniu wzajemnych stosunków handlowych i gospodarczych. Jak wiadomo, ZSRR jest naszym największym partnerem. Dobiegająca końca pięciolatka 1971—1975 przyniesie nie tylko pełne wykonanie wzajemnych ustaleń, ale ich znaczne przekroczenie. Stwarza to możliwość zaplanowania na nowe pięciolatce (1976—80) — znacznego zdynamizowania współpracy.

W wyniku przeprowadzonej koordynacji planów wymiana towarowa w latach 1976—80 przekroczy o ponad 50 proc. wielkość z bieżącej pięciolatki. Rozszerzy się kooperacja i specjalizacja w dziedzinie budowy maszyn, co ma ogromne znaczenie dla rozwoju gospodarki narodowej obu krajów. Wspólnie rozwiązywać się będzie problemy związane z produkcją ważniejszych paliw i surowców. Przewiduje się też pogłębienie współpracy między Polską a Związkiem Radzieckim w dziedzinie produkcji i dostaw wysokiej jakości artykułów spożywczych i przemysłowych, przeznaczonych do powszechnego użytku.

Nowa pięciolatka wniesie więc do

naszych stosunków handlowych i gospodarczych nowe jakości.

We wspólnym komunikacie podkreślono również zadowolenie obu stron z pomysłu o zakończeniu Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. Jej wyniki służą będą utrwaleniu pokoju i bezpieczeństwa narodów, stwarzają atmosferę wzajemnego zaufania i poczucie pewności co do swobodnego, niezależnego i pokojowego rozwoju każdego kraju.

\*\*\*

Z pewną rytmicznością powraca na pierwsze strony gazet konflikt bliskowschodni. Tym razem powodem są schody w sprawie stanu USA — H. Kissinger znów uda się w ten rejon świata. Nasilają się pogłoski, że mimo nadal utrzymującej się trudnej sytuacji — możliwy jest postęp. Pisze się o zmniejszeniu rozbieżności egipsko-izraelskich, co potwierdził ostatnio prezydent Sadat, mówiąc o barierze elastycznym stanowisku Izraela wobec propozycji tymczasowego układu pokojowego. Oczywiście, niczego to jeszcze nie przesądza, ponieważ Tel Awiw w każdej chwili może ponownie utrudnić sytuację. Dlatego najpewniejszą dro-

gą, zmierzającą do ostatecznego rozstrzygnięcia konfliktu bliskowschodniego, jest wzmocnienie obrad konferencji genewskiej.

Ogólne odprężenie w świecie stwarza pewną zaporę dla rozwoju wydarzeń także w tym rejonie w kierunku niepomyślnym i niebezpiecznym. Wciąż jednak nie została wyeliminowana groźba nowego konfliktu. Aby ją odsunąć konieczne jest zrealizowanie rezolucji Rady Bezpieczeństwa. Bylibyśmy рады, gdyby temu celowi służyły wszystkie zabiegi dyplomatyczne na Bliskim Wschodzie.

\*\*\*

Z niesłabnącym zainteresowaniem śledzimy to wszystko, co dzieje się w Portugalii. A dzieje się tam wiele. Po miesięcznym kryzysie rządowym, przypominajmy, spowodowanym wycofaniem się z koalicji socjalistów i liberalów, utworzony został nowy gabinet, na czele którego stoi Vasco Goncalves. Całą władzę wykonawczą Rada Rewolucyjna przekazała w ręce trzech ludzi: prezydenta Costa Gomeza, wymienionego przed chwilą premiera Vasco Goncalvesa i dowódcy Obrony Terytorialnej Kraju — Otelo Saraiva. Przed nimi stoi teraz ważne zadanie rozwiązania trudnych spraw wewnętrznych i zewnętrznych. Na północ kraju rozwija się ofensywa sił reakcyjnych w Angoli zaś, za którą wciąż przebiega odpowiedzialna jest Portugalia, toczy się wojna domowa. Ogólna sytuacja utrudniała pewne podziały w Ruchu Sił Zbrojnych, który jeszcze niedawno był jednolity. Jak już kiedyś pisaliśmy na tym

miejscu, różnice zdań odnoszą się do przyszłej drogi rozwoju kraju. Scierają się koncepcje: z jednej strony — ograniczonych reform i pozostawienia marginesu na działalność prywatnej inicjatywy, z drugiej — pełnej racjonalizacji całej gospodarki.

Już z tego skrótowego i z konieczności niepełnego przedstawienia przyczyn obecnej sytuacji w Portugalii wynika, że znajduje się ona w okresie, który może decydująco wpłynąć na przyszłe jej losy.

\*\*\*

I jeszcze jeden temat dzisiejszego przeglądu — głosowanie w Radzie Bezpieczeństwa nad przyjęciem do ONZ obu państw wietnamskich. Niestety — słuszne wnioski zablockowane zostały wetem Stanów Zjednoczonych. Bezpośrednim pretekstem do głosowania przeciw stało się odrzucenie wniosku o przyjęcie do ONZ Korei Południowej. Jak widać — Stany Zjednoczone wzięły sobie te sprawy. Stanowisko, jakie zajęły w Radzie Bezpieczeństwa, może zdziwić. Nie przeto dziwnego, że spotkało się z glosami krytyki.

Czy wynik głosowania uniemożliwia Demokratycznej Republice Wietnamu i Republice Wietnamu Południowemu członkostwo w ONZ? Należy przypuszczać, że Zgromadzenie Ogólne na najbliższej sesji zaleci Radzie Bezpieczeństwa ponowne rozpatrzenie sprawy, a wtedy przedstawicielowi USA trudno będzie oponować.

WITOLD SŁAWSKI





Hiszpanie przynajmniej od 12 lat postawili na turystykę. To ich przemysł numer 1. Przykładem, jak intensywnie rozwija się ta gałąź gospodarki, niech będzie Torremolinos nad Morzem Śródziemnym. Ta mała wioska jeszcze 12 lat temu nikomu nie była znana. Dzisiaj stanowi centrum turystyczne przez które rokrocznie przewija się ćwierć miliona turystów. Stąd właśnie aż po Barcelonę niemal ciągnie się słynne Wybrzeże Słońca — Costa del Sol. Nięstępujący ciąg hoteli, pensjonatów, hostali, barów, restauracji. Między Malagą a Torremolinos wybudowano nawet specjalne lotnisko dla samolotów czarterowych z Anglii i RFN. W ciągu dwu godzin można się więc znaleźć bezpośrednio nad morzem, gdzie, jak mówią o tym znawcy, panuje najłagodniejszy klimat w Europie. Bo rzeczywiście, na całe lato są tu zaledwie 3-4 dni deszczowe, nie czuje się też upałów, ponieważ wilgotność powietrza jest minimalna, przesyćenie atmosfery jodem, znakomite, bogate.

Jestem w Hotelu „Rey Sol”, gdzie, jak informuje wywieszka na drzwiach pokoju, dwuosobowe pomieszczenie o niezłym standardzie kosztuje 720 pesetów, natomiast po sezonie 640. Sezon to czerwiec, lipiec, sierpień, wrzesień i październik. Mniej więcej tyle samo trzeba przeznaczyć na całodzienne wyżywienie, a więc przeliczając na dolary, dwie osoby muszą wydać ok. 24 dolarów na każdy dzień. To informacja istotna dla tych, którzy wybierają się ze 130 dolarami w dalszą wprawę i wierzą reklamówkom że Hiszpania jest dla turysty tania.

W Torremolinos spotkanie z rodakiem. Henryk Stermach prowadzi tu swoją restaurację, która nazywa się „Slavo”. Zachęca do spożycia posiłków wywieszonymi reklamówkami, w których oferuje smaczny obiad za 100 pesetów. Stermach przyjechał tu z RFN, gdzie, jak sam mówi „Dobrze mi się wiodło, ale nie mogłem znieść stosunków między ludźmi”. W Torremolinos mieszka już 12 lat i chwali sobie ruch w interesie. Chociaż ostatnio jest gorzej. Kryzys energetyczny, za którym kryją się różnorodne perturbacje gospodarcze, zmniejszył napływ turystów, a co za tym idzie także i w restauracji „Slavo” mniejszy ruch. Stermach trzyma w barze specjalną „kapliczkę”, gdzie wystawione są różnorodne emblematy polskie, a także cała kolekcja polskich wódek. Oczywiście w sklepach hiszpańskich nie brak naszej wyborowej czy żytniej, ale pół litra kosztuje 300 pesetów czyli blisko 5 dolarów. „Slavo”, gdy ktoś przyniesie butelkę także chętnie kupi. Litr koniaku kosztuje tu 100 pesetów. Interes wart zachoć, tylko komu się zechce aż z Hiszpanii wieźć koniak do Polski? Wszak ten sam „Soberano” czy „Thery” jest w naszych „Delikatkach”.

U Stermachu zostaliśmy poczęstowani czerwonym winem. Dla szukających przysmaków jego menu oferuje bigos po polsku i krupnik, który sam przygotowuje. „Slavo” nie pali, nie pije i tak powoli dorabia się fortuny. Oprócz restauracji próbuje bowiem także handlu placami budowlanymi, co przy tutejszym

wielkim rozmachu budownictwa hoteli i prywatnych pensjonatów też ma niemałe szanse. W przyszłości chciałby wpaść do Polski. Na razie stoi za kontraktorem i zachwala polskie napitki.

\*\*\*

Wczoraj wieczorem wzięta się klubie nocnym „Madrigal”. Chodziło wyłącznie o seans tańców hiszpańskich, a głównie słynne

artystom, rzą więc z tego niby humoru, jak wykastrowane ogry. Żalossne gusty.

Rano jedziemy do wioski Mijas położonej u stóp gór Sierra Morena. Jeszcze kilkanaście lat temu ta wioszcyna była nędzną osadą, teraz turyści spowodowali, że i tu ludziom zaświeciło słońce. Jest tu sporo sklepików i rzemieślników, którzy tkają małe kilimki, albo robią mnóstwo pamiątek z metalu. Wszystko, niestety, dość drogie i tandetne. Sensacja! Chyba w jedynym miasteczku na świecie funkcjonują tu taksówki z taryfą, którymi są osiołki. Aż śmiech zbiera, gdy na taką „Taxi” gramoli się stara Amerykanka. Oczywiście, takiej „kierowca” podstawią specjalny podest, żeby mogła się jakoś wgramolić na grzbiet osiołka. Za fotografię na osiołku także pobiera się

chce koniecznie poczęstować nas Malagą Dulce, czyli „najdelikatniejszą i najlepszą słodyczą świata”. Jak się reklamuje owa winiarnia i producent Valdepeñas. W winiarni można od razu zakazać tzw. fruttí de mare czyli owocami morza. Ten rzadki lub wcale nie widziany na naszych stołach przysmak, to: małże, krewetki, koniki morskie, ślimaki, kraby. Chłopak, który sprzedaje to wszystko żywe, pokropione jedynie cytryną, żąda za małeńki talerzyk owych delikatności 100 pesetów.

Malaga ma piękną roślinność subtropikalną. Obok bogatej zieleni i bogactwa, także sporo ludzi ubogich. Ciekawostka — dużo konnych dorożek, a konie ustrojone w specjalne kapelusze co i dekoruje i chroni przed zbyt intensywnym słońcem.

Pobyt w Costa del Sol to przede wszystkim słońce, ale także morze. To jednak już nie jest tak nieskazitelne, jak udekorowane różnorakim kwieciami, wzgórz czy górskie, czyste strumyki. Z morza wylazi się często utyłym w mazucie. Wszak Malaga to wielki port, a niedaleko także Gibraltar, gdzie przepływa mnóstwo statków. Te nie oszczędzają morskiej wody przed wyrzuceniem wszelkiego rodzaju zanieczyszczeń.

\*\*\*

W tutejszej prasie od czasu do czasu odzywają się delikatne głosy na temat rozwodów. Jak wiadomo Hiszpania jest jedynym krajem Europy, gdzie rozwody nie istnieją. W oglądanej przeze mnie dyskusji telewizyjnej wzięli udział m. in. dwaj księża. Zagajający wyszedł w swym słowie wstępny od sytuacji w Włoszech, gdzie w referendum zwolniony rozwodów odnieśli totalne zwycięstwo. Dwaj księża udawali głupków i przez cały czas twierdzili, że w ogóle problem rozwodów w Hiszpanii nie istnieje. Rozwody są niemożliwe, a na pewno niemożliwe w tym wieku. Można by takie głosy skomentować: pożyjemy, zobaczymy.

Radykalizujący dziennik „Pueblo” publikuje z kolei dyskusję, w której wzięło udział 7 pań. W gronie tym znalazły się dziennikarki (2), poetka, socjolog, dyrektor zakładów przetwórstwa. Mówiono przede wszystkim o kryzysie instytucji małżeństwa w Hiszpanii, o uwarunkowaniach religijnych, które nie nadają tej instytucji w hiszpańskich warunkach żadnej trwałości. Wszystkie dyskusjantki zgodnie twierdziły, że małżeństwo przeżywa w Hiszpanii głęboki kryzys. Notuje się tysiące małżeństw w separacji, tysiące kobiet opuszczonych przez mężów, którzy wyjechali na emigrację zarobkową do RFN czy Francji i nie mających zamiaru wrócić do swoich połowic. Najdotkliwiej sytuację małżeństwa w Hiszpanii określiła poetka, która powiedziała: „Matrimonio e la tumba del amore” czyli „małżeństwo jest grobem miłości”. Dziennik „Pueblo” jest pismem radykalizującym i dyskusje, jakie drukuje na swych łamach, mają dość miarodajne odniesienia do życia.

Hiszpańska kobieta pragnie wyzwolenia i praw, jakie przysługują kobietom we wszystkich niemal krajach Europy. Nie interesują ich i burza się w sposób coraz wyraźniejszy przed narzucenymi przez Kościół i frankistowską administrację racjami, które się streszczają w dwóch słowach: La Iglesia e la cuehina”. Kościół i kuchnia. Takie hasła można spotkać tylko jeszcze w obskurancie Hiszpanii. Wala się jednak powoli i te porządki, tak, jak załamuje się cały frankistowski system.



Fot. M. Myszkowski

ZYGMUNT WÓJCİK

## COSTA del SOL

KORESPONDENCJA Z HISPANII



flamenco, najbardziej andaluzyjski i zarazem hiszpański taniec ludowy. Porywa rytm tego tańca, jego ognistość, ogromna finekja. Wszystko byłoby znakomite, gdyby nie to, że do programu wpleciono występ pary komików niemieckich z RFN. Samj bardzo się śmiali z tego, że żona wali męża kopyścią w tyłek. Znana to klasa i rodzaj dowcipów. Turyści z RFN, a tych tu najwięcej, nie stawiają zbyt wysokich wymagań takim

oplaty. W ten sposób Mijas może żyć.

Dzisiaj skok do Malagi, która się mianuje stolicą Costa del Sol. Dla turysty poza zabytkami, oczywiście, słynna dzielnica cygańska. Tu właściwie odbywa się handel, żebrani, urzędują czysciubuty, grają w karty Cyganie, targują prostytutkami. Szybko omijam ten przybytek doczesnej radości tutejszego świata. Mamy zaproszenie od miejscowego winiarza, który

## POWIĘKSZENIA

WARSZAWKA

Kazimierz Koźniowski, pisząc w „Polityce” o trzydziestoleciu miesięcznika „Twórczość” stwierdza: „to znakomite tytuły do sławy i chwaly warszawskiego (podkreślenia nasze) miesięcznika

„Twórczość” — jak wiadomo powstała w Krakowie, dziś redagowana jest w Warszawie, ale test to po prostu polskie czasopismo. Chyba, że warszawski pisarz Koźniowski żyje nie w Polsce lecz w Księstwie Warszawskim.

ELEGANCJA I KULTURA

„Literatura” — Bardzo osobliwe.

„Literatura” — Bardzo osobliwe. Ponieważ adwersarz ma lat 64 tytuł notki „Dyzio-plernik”. Jak widać — bomba śmiechu. Potem da epitecką — smutnawy biesiek, metniak i... endeck. I jeszcze raz spiernczał Dyzio, który nie ma literackiego smaku.

Smutne to A najsmutniejsze, że polemista z „Literatury” ma rację i zupełnie niepotrzebnie pomaga sobie ciosami poniżej pasa

PRZEWIENNE MIESZKANIE

„GR” donosił w notatce reportera, że w Łodzi na rogu ulic Aleksandrowskiej i Kaczeńcowej nietrzeźwy Tadeusz P. spadł z fotela na podłogę.

Zważywszy, że na rogu Aleksandrowskiej i Kaczeńcowej nie stoją żadne domy zachodzimy w głowę skąd Tadeusz P. wziął tam fotel i... podłogę. A może ma takie przewienne mieszkanie? No cóż — w upały i na bańce wszystko możliwe.

STYLISTYKA

Jan Pieszczachowicz pisze w „Kulturze” o literaturze tzw. drugiego rynku księgarskiego. Przy okazji wspomina książkę Janusza Dunina pt. „Papierowy bandyta” oświadczając, że „autor niezupełnie nie wywiązał” się z tematu.

„Niezupełnie nie wywiązał” — co znaczy ten lameniec stylizacyjny? Ze autor jednak się wywiązał? Nie wiadomo dokładnie. Wiadomo natomiast, że Pieszczachowicz mylił tytuł głośnej książki Kornhausera i Zagajewskiego „Świat nie przedstawiony”.

PRZEJĘZYCZENIE

Oprócz znanego z historii Jana III Sobieskiego mamy jeszcze współczesnego Jana Siódmego. W czasie transmisji z Pucharu Europy w Nielei sprawozdawca tak zapowiedział krótkodystansowca Jana Fustego: „Na torze pustym startuje Jan Siódmy”. Mała rzecz a śmieszny.

otex

ODZIEŻ TKANINY OBUWIE

## GALANTERIA SKÓRZANA I WŁÓKIENNICZA

MODNA, ELEGANCKA!

DUŻY WYBÓR!

DLA PAŃ, PANÓW I MŁODZIEŻY

Do nabycia w sklepach

ŁÓDZKIEGO PRZEDSIĘBIORSTWA HAN DLU ODZIEŻĄ „OTEX”



3081/K